Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego).

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, dnia 10 listopada 1946 r. | Nr 39 (50)

Biblioteka Uniwersytetu Gdańskiego

Stefan Sulima

Ziemia odnalezionych przeznaczeń (6)

Buńczuczny tatko

W galerii wielkości warmińskich jedno z czołowych miejsc zajmuje poeta i działacz narodowy Andrzej Samulowski. Nazwisko to, głośne na Warmii, nierozerwalnymi węzłami wiąże się z Gietrzwałdem.

Gdy na cmentarnym klonie pojawiła się „Śliczna Pani", mówiąca po polsku, trzydziestosiedmioletni wówczas pan Andrzej użył wszelkich sposobów, aby w poznańskiej a potem śląskiej prasie rozgłosić tę krzepiącą serca polskie nowinę. Został propagatorem rodzącego się kultu i werbownikiem jego zwolenników, a w zamian za to Gietrzwałd stał się dlań drugim gniazdem rodzinnym i wyznaczył koleje jego dalszego losu. Dzięki Gietrzwałdowi umocnił węzły łączące go z resztą zaboru pruskiego. Z Pelplina przywiózł poparcie i środki na uruchomienie pierwszej na Warmii księgarni polskiej, z Poznania otrzymał częściowe wyposażenie drukarni „Gazety Olsztyńskiej", a z śląskiego Mikołowa, prócz dowodów przyjaźni i serca, wywiózł żonę, sprzątniętą emal ze ślubnego kobierca... synowi Karola Miarki.

Ciekawy był to człowiek, ten Andrzej Samulowski, jedyny z tutejszych działaczy, któremu lud warmiński nadał zaszczytny tytuł „naszego tatki". Urodził się w Szabruku w r. 1840 i tam spędził dzieciństwo do chwili, gdy ojciec, stary „polonus", wysłał go do owej patriotycznej Mekki całego zaboru, Poznania, aby u źródła zaczerpnął z tajników literackiej polszczyzny i na miejscu, gdzie mówiono tylko gwarą, błysnął tą imponującą umiejętnością. Przywiózł junior Samulowski z Przemysławowego grodu nie tylko znajomość poprawnego wyrażania się, ale i serce rozgrzane patriotyzmem i niezaspokojoną żądzę czynu dla narodowej sprawy. Jej poświęci życie i najlepsze siły, ona stanie się dlań żywiołem, namiętnością i posłannictwem.

Jeśli Mazurzy w poecie-cieśli Kajce i męczynniku Bogumile Lince widzą swe współcześnie szczytowe wcielenia, Warmia pod wielu względami od Mazur różna, w Samulowskim, w którym jest coś i z Kajki i z Linki, czci i kocha reprezentacyjny typ świadomego swej polskości Warmiaka. Odnajduje w nim jakąś staropolską brawurę, nieokiełzaną fantazję, dynamizm przekonań, a wszystko to podkreślone jeszcze zamaszystym gestem. A są to cechy jej mieszkańca, tkwiącego tradycjami w polskości dawnych wieków, bliskie sercu, jak namaszczony patos chłopski Kajki i Linki, mające na Mazurach swojski wydźwięk.

W życiu pana Samulowskiego był cichy tragizm, jakaś przekora tak zwykła w losie pruskiej polskości. Kiedyś Niemcy pruscy Kalkstein i Roth uwzięli się wyciągać dla jegomości króla polskiego gorące, polityczne kasztany z pruskiego ognia. Marzyły im się zaszczyty, a może tylko szeroka polska wolność. Jeden oddał swe życie po mękach w ręku kata, drugi zgnił w więziennym lochu, a działo się to na oczach obojętnej Polski. Później gdy wiosna ludów przeleciała przez Europę i podsyciła płomień narodowego uświadomienia w Poznańskim, rzuciła zarzewie na Śląsk, podniosła Kraków, tutaj młodego Giżyckiego - Gizewiusza, który był władny rozbudzić narodowego ducha w mazurskich piersiach, zżarła w 38 roku życia gruźlica. Pana Samulowskiego rogata dusza otrzymała za mieszkanie watłe i cierpliwe ciało, od młodości utrapione słabościami. Nocy mu było mało na wypoczynek tak, że przesypiał jeszcze kawał dnia. Byle kaprys pruskiej aury zwalał go na łoże boleści, bo jedyną jego bronią przed przeciągami był zwykły aksamitny beret, stale tkwiący z fantazją na wrażliwej głowie.

Krucha powłoka cielesna, która dostała się mu jako wędzidło niepohamowanych porywów sprawiła, że nie stanął w rzędzie największych budzicieli polskości na zagrabionych ziemiach Polski. Bo rozmach miał huraganowy, a w skołatanej newralgiami głowie paliło mu się jak w hutniczym piecu. Jeśli dorobek jego był niewspółmierny do skromnych sił, zasługa tego leży w niezwykłej żywotności umysłu i nieugiętego charakteru. One to sprawiły, że w ogóle działał i że cierpieniami i zasługami jego możnaby obdzielić hojnie zarówno chronicznych cherlaków jak i... plejadę dobrych lokalnych wielkości. Był Warmiakiem w każdym włóknie swego jestestwa. Duch jego przypominał kombinację dwóch szlachetnych metali, których proporcje tak dobrano, by stop z nich powstały hartowaną posiadał ścisłość. Katolicyzm i polskość oto dwa bieguny, dookoła których obracało się jego życie i praca. Jak cały ten lud „naturaliter — jakgdyby — christianus", nie zasklepiał się w li tylko ciasnym kręgu dewocji, ale w religii znajdował źródła i drogowskazy życia. Jednym z nich na miarę dekalogowych przykazań ufundowany, był obowiązek wobec Boga i siebie, dotrzymania wierności narodowi, którego synem się urodził. Wyznawał podział na dobro i zło i według niego kwalifikował swoje i cudze czyny. Jego miejsce było tam, gdzie było dobro. Dobro zaś było wszędzie tam, gdzie wiara i polskość płonęły pełnym blaskiem.

Choć kości jego od dwudziestu prawie lat spoczywają w rodzinnej ziemi, pamięć jego trwa wśród ludzi. Pamiętają tu wszyscy tego marsowego pana, który jawnie obnosił swoją polskość po Gietrzwałdzie i Warmii, którego głowy imały się pomysły, niby szalone, a przecież celowe i przemyślane. A co najdziwniejsze pan Samulowski nie zstąpił ani o stopień z piedestału uznania i podziwu, na jaki zapracował sobie trudem całego życia.

Było coś zastanawiającego i imponującego w jego działalności. Był poetą i publicystą, działaczem narodowym, przywódcą politycznym (protektorem pierwszego polskiego posła z Prus do berlińskiego parlamentu), pionierem gospodarczej niezależności, propagatorem i współtwórcą prasy polskiej, założycielem pierwszej księgarni polskiej na Warmii, wydawcą literatury ludowej, mecenasem rodzimych talentów (malarza i poetę Antoniego Sylwestra Schnarbacha z Sząbruka zawiózł sam Matejce na naukę) i co tu wyliczać wszystkim na co nietęgich sił i wykradzionego słabości czasu starczyło. „Nasz tatko", oto tytuł, który najlepiej objaśnia wszechstronność i rangę tego ludowego przywódcy.

Zadziwiał swoich i obcych. Chodził jak Daniel między ryczącymi lwami, wśród rozpanoszonej niemczyzny i jakimś pogromczym instynktem nakazywał szacunek i respekt wobec siły swoich przekonań. Manifestował też je na każdym kroku, szczególnie w swych niewymyślnych, ale zawsze programowych wierszykach, kierowanych pod adresem poddanych Reichu, z których jeden szczególnie popularny zwraca się do warmińskich kobiet:

Polki matki — uczcie dziatki
Polskiego pacierza,
Choć hakata mieczem kata
Srogi cios wymierza.
Z wiarą w Boga — zmożem wroga
Będziem Polakami,
Bierzmy wzory z natchnień z góry
Jak zwyciężać mamy.

Nie przyjmował listów niemieckich, pod swym dachem żądał mówienia po polsku, patronował każdej polskiej sprawie, „robił Polskę na Warmii", jak mi tu ktoś powiedział. Niezwykłe były echa tych wystąpień. Nienawidzili go Niemcy to oczywista, ale przeżył pan Samulowski chwile niemałej satysfakcji, szczególnie wtedy, gdy miejscowy bożek powiatowy, landrat we własnej osobie przybywał w jego progi z uprzejmą prośbą, by nieco oględniej i umiarkowaniej podważał autorytet „prawowitej władzy". Przyjmował pan Andrzej bożków, w łóżku, z wyrozumiałością i łaskawością, ale pozwalał sobie zauważyć, że w istocie trudno mu jest zrozumieć obawy władców życia i śmierci o jego działalność, skoro jego nędzna wegetacja upływa po większej części na łożu boleści. A potem robił swoje na swym gietrzwałdzkim podwórku. Nawet wtedy gdy sprzedawał niewinne książki pobożne i religijne obrazki, ziarno polskości padało wszędzie, dokąd tylko sięgał jego wpływ. Pokazywano mi jeden rzadki dziś bardzo, słynny obrazek gietrzwałdzki z Matką Boską w otoczeniu akcesoriów miejscowego kultu. Rozchodził się on w czasie odpustów w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a na odwrocie każdego z nich widniała taka wierszowana „Prośba do Matki Boskiej":

Pośpiesz, Matko, ach, czym prędzej,
Widząc lud swój w ciężkiej nędzy.
Zerwij więzy, zrzuć niewolę,
Zgój nam rany, uśmierz bóle!

Pod spodem zaś niby godło umieszczona była notatka: „Nakładem A. Samulowskiego w Gietrzwałdzie".

Najkapitalniejszy coup de théatre udał się Samulowskiemu w czasie plebiscytu. W zdarzeniu tym jest tyleż tragicznych, ile mimo woli komicznych momentów, ale ponad to wszystko wybija się niezwykła odwaga przekonań i brawura warmińskiego „tatki".

Perspektywa Odry

Wydajemy pięćdziesiąty numer „Odry". Od powstania naszego tygodnika minęło półtora roku. Kiedy rozpoczynaliśmy naszą pracę, na Ziemiach Odzyskanych gasła dopiero wojna. W ciągu półtora roku byliśmy wierni wszelkim przejawom pracy polskiej na tych nowych naszych terenach, a szczególnie pracy kulturalnej. Postanowiliśmy przedyskutować szeroki program kulturalny dla Ziem Odzyskanych. Niestety nie zainteresował on żadnego innego ośrodka kulturalnego poza Śląskiem i o dyskusji tej nie raczyło wspomnieć żadne pismo, mieniące się organem polskiego świata kultury. Nie tylko w tym wypadku byliśmy samotni, samotni byliśmy także w aktualnej ocenie zagadnienia autochtonów.

Był to czas, kiedy dopiero co padły Niemcy. Pierwsi zaczęliśmy informować stale i obiektywnie Polaków o tym, co Niemcy myślą i robią. Postanowiliśmy skupić na łamach naszego pisma wszystkich tych, którzy mają coś do powiedzenia w sprawach Ziem Odzyskanych. Po większej części nam się to udało. Nawiązaliśmy serdeczną współpracę z Instytutami Naukowymi dla Ziem Odzyskanych, z pisarzami tam osiadłymi, z Uniwersytetem Wrocławskim. Stworzyliśmy ekspozytury naszego pisma we Wrocławiu, w Szczecinie i w Olsztynie. Życie Ziem Odzyskanych, szczególnie jego dziedzina kulturalna, sprawy niemieckie i życie kulturalne świata słowiańskiego — oto trzy kierunki naszych głównych zainteresowań, realizowanych w formie dyskusji, sprawozdań, artykułów i ilustracyj w 50-ciu numerach „Odry". Ponadto staliśmy się jedynym literackim organem Wielkiego Śląska.

Dziś w pracy tej mamy już wielu cennych sprzymierzeńców. Cały ten trud możemy już dzielić z innymi ośrodkami, które w dzisiejszej ich formie zorganizowały się później, jak ośrodek poznański, wrocławski, czy będący wciąż jeszcze w zalążku ośrodek szczeciński. Niemniej pragniemy nadal spełniać rolę owego centralnego organu kulturalnego dla Ziem Odzyskanych. Stoimy także przed reorganizacyjnymi planami naszego tygodnika. Z okresu informacji przejść musimy w okres programowej organizacji. Dotąd, jak się nam wydaje, w szeregu artykułów zdołaliśmy zapoznać społeczeństwo polskie z życiem Ziem Odzyskanych i ich potrzebami. Teraz za tem można już zacząć organizować życie kulturalne na szerokiej platformie doświadczenia, wiedzy i wiary.

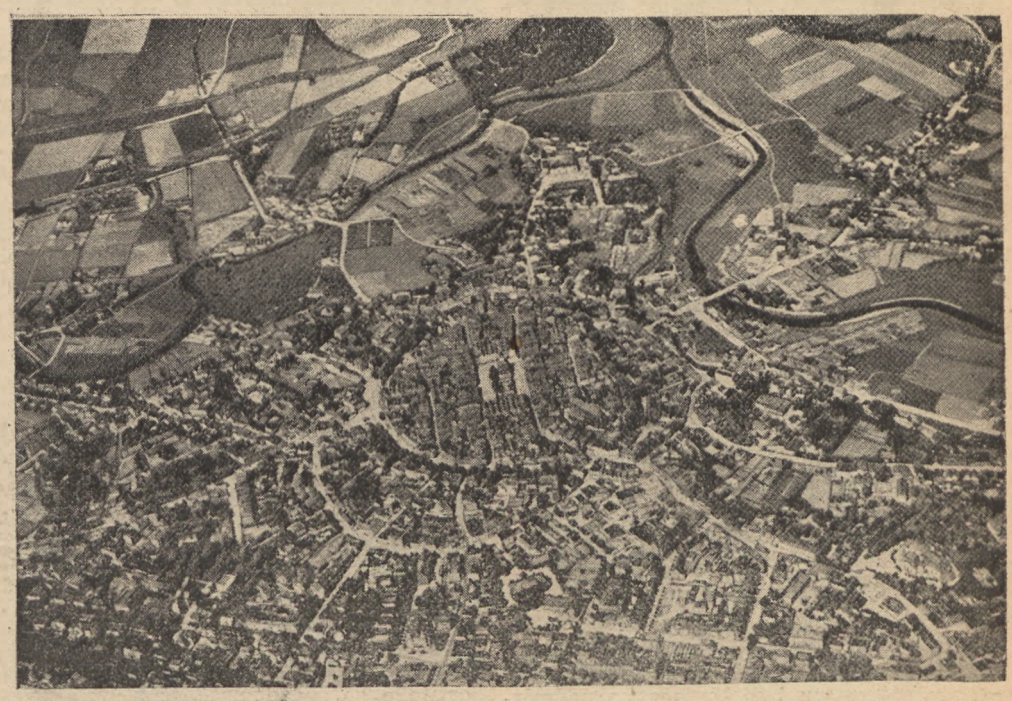

Jelenia Góra, Ateny śląskie, z lotu ptaka. Na początku wojny trzydziestoletniej licząca zaledwie 430 domów i 2.500 mieszkańców, w roku 1750 osiąga cyfrę 6.300 mieszkańców. Dziś staje się obok Wrocławia drugim centrum życia kulturalnego na Śląsku Dolnym.

BIBLIOTEKA Instytutu Zachodniego w Poznaniu

Im bliżej było plebiscytu, tym gorsza stawała się sytuacja polskiego obozu. Gdyby głosowanie odbyło się w styczniu, ówczesne Prusy Wschodnie byłyby wpadły w nasze ręce, jak dojrzały owoc. Później wypadki zaczęły pracować przeciw Polsce. Świeżo stworzona państwowość polska przeżyła głęboki kryzys w wyniku wojny 1920 r., który za granicą uważano za początek końca państwa polskiego. Niemcy otrząsnęli się po klęsce w ciągu pierwszego półrocza 1920 i przystąpili do przeciwnatarcia, mając po swej stronie wszystkie atrybuty władzy, przewagę materialną i sukurs dziesiątków tysięcy „martwych dusz' sprowadzanych masowo z Reichu. Czas pracował na ich korzyść.

Nie byłaby Warmia tak bardzo polska z instynktu i ducha, gdyby w tym okresie nie zamarzyło jej się orężne powstanie jako droga wyjścia z groźnej sytuacji. Podobno aż 6.000 zbrojnej młodzieży czekało w pierwszej połowie roku pozwolenia z Warszawy, by wzorem Śląska i Poznańskiego rozpętać zbrojną ruchawkę i wybić sobie zbrojnie drogę do Polski. Jeśli wierzyć moim informatorom, widoki na zwycięstwo nie były wcale nikłe. Pono renegat Worgitzki, organizator niemieckich bojówek, osiągnął tylko tyle sukcesów, ile ich lekkomyślnie nie zaaranżowali Polacy. Młodzi powstańcy liczyli na rozprężenie w szeregach niemieckich i na piorunujące wrażenie, jakie zdecydowanie polskie wywoła wśród Niemców i ludności. Centrum ruchu był Gietrzwałd. Pan Samulowski zapytany przez deputację o radę dał swe błogosławieństwo i promieniał do chwili, gdy z Olsztyna przyszedł kategoryczny zakaz jakichkolwiek zbrojnych dywersji. Powstanie rozprzęgło się, zostawiając osad niezadowolenia i przygnębienia. W szarej masie ludowej panowało przekonanie, że albo Polska jest tak słaba, że boi się powstania i zgniecenia go przez Niemców, albo po prostu na Prusach jej nie zależy. Wielu Warmiaków zdawało sobie sprawę, że Polska traci tu z dnia na dzień grunt pod nogami i że robota niemiecka staje się coraz bardziej planowa i intensywna.

Pan Samulowski do końca nie stracił fantazji. Dla tego człowieka zmiana koniunktur nie stanowiła decydującej przeszkody. Działał dalej z niezachwianym spokojem i pewnością siebie, rzucał się w wir plebiscytowej roboty, a szczególnie szalał w „swoim" Gietrzwałdzie, któremu nie danym było stać się Piemontem pruskiego wyzwolenia. Od jakiegoś czasu w tajemnicy robiono dlań wielką chorągiew, a na niej pracowite dłonie wyszywały imponującego białego orła. Tą niespodzianką postanowił pan. Andrzej wsławić imię Gietrzwałdu, skoro przeciwne losy na jego barki zwaliły obowiązek dbania o dobrą sławę duchowej stolicy Warmii.

Na tydzień przed plebiscytem na szczycie białego domku, w którym prosperowała księgarnia, pojawił się zakonspirowany dotąd sztandar, pono jedyny tego rodzaju na całym plebiscytowym obszarze. Pan Andrzej umiał zaskakiwać swoich i obcych swą pomysłowością. Wnet cała okolica i niedaleki Olsztyn wiedziały o chorągwianej aferze, która do białości rozpaliła wściekłość niemiecką, a dla Polaków stanowiła dowód, że warmiński „tatko" podzielił los Bogumiła Linki, gdyby szczęście śmiałych nie stało mu wówczas wiernie przy boku. Niemcy ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, wypisali mu bowiem wyrok śmierci, podobnie jak mazurskiemu męczennikowi. Było tajemnicą poliszynela, że mobilizuje się niemiecka bojówka dla rozprawy z „bezczelnym Polakiem". Nie połamano mu kości, jak miał obiecane, tylko dzięki dość wczesnej ingerencji misji międzyalianckiej, która zaniepokojona pogróżkami niemieckimi, przysłała oficera angielskiego, proponując bezpieczny azyl. Nie wykluczone, że pełen fantazji „tatko" wystąpił wobec Anglika podobnie jak Zagłoba za murami zamojskiego zamku i proponował misji Gierzwałd miast Olsztyna, w każdym razie komisarze sponte sua przysłali 12 Tommies z sztywnym oficerem, zawiadamiając, że ów gentleman i żołnierze JKMości są do usług starszego, a niespokojnego pana.

Sprawa chorągwi miała jeszcze niejedną pełną humoru stronę, zanim omal nie skończyła się tragicznym epilogiem. Czymże gorszym byli Niemcy na podwórku gietrzwałdzkim pana Samulowskiego, że poczynania ich napotykały na ciągłe „prowokacje" i „zniewagi". Na kilka dni przed plebiscytem postanowili i oni zwołać meeting i dojść wreszcie do głosu. Nieszczęsna chorągiew, jak się okazało, była w tym względzie przeszkodą nie do przebycia. Przecież nie do pojęcia było dla przeciętnego pruskiego Niemca, by w czasie manifestacji za pozostaniem przy „Vaterlandzie" miał mu urągać w centrum wsi biały orzeł. Miejscowy pan żandarm chodził w siódmych potach, nie na myśl, że „prowokacyjna" płachta, ściągnięta na czas wiecu, może się stać powodem jakichś żywiołowych awantur, w czasie których mogliby być wzięci w obroty żołnierze JKMości i powstać wielki międzynarodowy konflikt. Ciągano by wówczas pana przedstawiciela władzy do ciężkiej odpowiedzialności, a w takim wypadku trudno by było wynieść całą skórę z nieszczęsnej afery. W związku z obawami miejscowej władzy miała miejsce nadzwyczajna rozmowa, jaką wspomniany pan żandarm, niewątpliwie z niemałym szwankiem niemieckiej dumy, zdecydował się odbyć z buńczucznym „tatką". Gdy nie pomogły wstępne „życzliwe rady", gdy zawiodła delikatna groźba, uderzył pan żandarm w pokorę i przeplatając prośby zaklęciami na głowy żony i niewinnych dziatek, błagał o zlitowanie. Stanęła wreszcie umowa o dwugodzinnym z zegarkiem w ręku armisticium, w czasie którego chorągiew miała być schowana przed oczami niemieckimi. Gdyby jednak wiec się przewlókł i doszło do awantur, niewinna krew pani żandarmowej i nieletnich dzieci miała obciążyć sumienie wiarołomnej władzy, nie pana Samulowskiego.

Dzień plebiscytu celebrował pan Andrzej z wzruszającym choć nieco zabawnym nabożeństwem. Był to jeden z największych dni w jego życiu. Żona i córki otrzymały na wielki polonez do urny specjalne toalety, sprowadzone z Gdańska, by oddać wspólnie głosy na Polskę.

Był to jego ostatni tryumf tego dnia. Już wieczorem wiadomo było, że plebiscyt wygrali Niemcy przygniatającą przewagą głosów. Na 475.925 oddanych głosów za Polską 15.871, reszta na „Ostpreussen", bo tak brzmiała alternatywa. Najwięcej polskich głosów oddały Powiśle — 7.947 (7.2 %), Warmia — 5.971 (6.6 %), najmniej Mazury — 1.953 (0,7 %). Nadchodził czas rozrachunku między panem Andrzejem a Niemcami za wszystkie afronty i obrazy niemieckiego fanatyzmu.

Od wczesnego wieczora, niby to z okazji zwycięstwa „sprawiedliwości" miejscowi „patrioci" poili angielskich „strażników chorągwi" z wyraźnym celem usunięcia ich z pola dalszego działania. Od dziewiątej w karczmie trwała koncentracja bojówkarzy niemieckich których zadaniem było, po spiciu Anglików do nieprzytomności, „wykonanie wyroków" na najwybitniejszych działaczach polskich w Gietrzwałdzie i okolicy. Jako pierwsza ofiara która miała paść o godz. 12 w nocy, figurował pan Samulowski.

Przeżył tę noc warmiński „tatko", gotując się na pewną śmierć. Zebrał dokoła siebie strwożoną rodzinę, zabarykadował dom i polecał duszę Bogu. I tym razem szczęście odważnych nie opuściło go w potrzebie. Gdy pijana zgraja stanęła pod oknem, a idący na czele dryblas zaczął walić ogromną „fahną" w ogrodzenie balkoniku na piętrze domu, gdy błysnęły noże i rozwścieczona tłuszcza zabierała się z wyciem do wyłamania drzwi, po raz drugi zjawili się Anglicy, ściągnięci na pomoc przez kogoś życzliwego i lubo sami w żałosnym stanie, zdołali swą obecnością ocalić bojownika. Wykonawcy „wyroków" nie zaryzykowali usunięcia siłą żołnierzy JKMości, zato powetowali sobie zawód w okolicznych wsiach, gdzie urządzili straszliwą masakrę członków polskiej osłony plebiscytowej i polskich działaczy. Domy polskie stały się pułapkami na świadomych Polaków. Pola i lasy Warmii zaludniły się wygnańcami, którym dopiero gorączkowa akcja konsulatu R. P. w Olsztynie umożliwiła ucieczkę na polską stronę. Na Warmię padł czarny cień terroru i zemsty.

Mimo straszliwej sytuacji własnej Samulowski pozostał nieugięty i nie uszedł do Polski. Siedział w Gietrzwałdzie, ryzykując życie i dziw, że umarł naturalną śmiercią, omal nie dobiwszy dziewięćdziesiątki, w drugie święto Wielkiejnocy 1928 roku. Taki już był, że do końca nie opuściła go świadomość, iż z życia swego będzie się musiał kiedyś rozrachować. Przeczuwając zbliżającą się śmierć, jeszcze raz sięgnął po pióro, którym przeszło pół wieku szermował, by prowizorycznie choćby zdać liczbę z tego, co uważał za swe posłannictwo:

Może nie spełniłem, coś mi odmierzył...?
Lecz miej wzgląd na słabość, na me niedostatki.

Zwracam Ci to, Panie, coś mi powierzył.
Polecam w opiekę mą żonę i dziatki.

— — — — — — —

Przebaczam też wszystkim, proszę przebaczenia.
Oddaję się Bogu z wiarą i nadzieją.
Matko Boska, prowadź duszę do zbawienia!
Więc idę — Bóg woła: pójdź już, pójdź Andrzeju!
(„Testament duszy")

Tak też i odszedł.

Księgarnia pana Samulowskiego przetrwała wbrew najoczywistszym rachubom aż do naszych czasów. Zasługa to niemała pani Samulowskiej, niedoszłej Karolowej Markowej. Z córkami warmińskiego „tatki" omal nie przegawędziłem nocy, wspominając jego przewagi i niedole, a gdyśmy z grubsza wyczerpali temat i zdawało się, że czas wracać do rzeczywistości, postać pani Marty zamajaczyła nam przez rządki pracowicie i starannie kreślonych listów jako nowy przedmiot czarującej gawędy.

Dzięki tym wspomnieniom okno pierwszej polskiej księgarni na Warmii w Gietrzwałdzie nie było dla mnie puste i stale zwidywała mi się w nim staruszka, pani Samulowska, pochylona nad ledwie widocznym przez szybę kantorkiem. I miałem takie chwile w Gietrzwałdzie, że patrząc w to okno, za którym siadywała, doznawałem niepewności, czy na prawdę widzę za nim siwą głowę staruszki, czy to tylko słońce przesiane przez listowie maluje na szybie złudne miraże.

Konfrontując na miejscu wspomnienia rodzinne z tradycją miejscową, ciągle wpadałem na trop siwej pani. W drodze do kościoła rozmawiałem z warmińską nauczycielką i ciążył mi jej tragiczny wzrok, za którym czuło się podeptaną brutalnie radość wyzwolenia. Na chybi trafi spytałem o panią Samulowską. Smutne oczy zwróciły się ku mnie mile rozjaśnione:

— Pan wie coś o pani Samulowskiej? Pewnie z Wańkowicza? Taka właśnie była w rzeczywistości, jak ją uwiecznił w swej książce. Siadywała codziennie za oknem księgarni, zawsze pogodna i życzliwa. Gdy jej brakło, odczuliśmy w Gietrzwałdzie dziwną pustkę... jakby zniknęła cząstka otaczającej nas rzeczywistości.

Z wspomnień warmiackich jej postać wychyla się świetlana, pełna wewnętrznego spokoju i dobroci w aureoli wdzięczności i sentymentu. Jakby subtelny pastel utrzymany w jasnym, słonecznym tonie. Jeśli jej mąż w pamięci ludzkiej płonie jak wielki znicz, ona niby wieczna lampka w gietrzwałdzkim sanktuarium świeci łagodnym, przyprószonym światłem w półmroku przeszłości. Przetrwała ciężkie chwile. Od r. 1939 spadały na nią nieustanne rewizje, groźby i podejrzenia. Kazano zamalować słynny napis polski na księgarni. Wpadało do niej co jakiś czas gestapo nasyłane aż z Berlina. Miejscowe czynniki partyjne planowały wyrzucenie jej z własnego domu. Trwała cicha i spokojna. Wielkie ludzkie serce, jakie biło w jej piersiach, zatoczyło wokoło niej zaklęty krąg, którego niegodziwość nie mogła jakoś przekroczyć. Gdy wieść o zamierzonym wysiedleniu przeleciała przez Gietrzwałd, wszyscy jego mieszkańcy, nie wyłączając co uczciwszych Niemców, odczuli to jako wyzwanie. Dano jej więc spokój, aczkolwiek jej ludzkie serce było na wskroś i to jawnie polskie.

Uważano ją za osobę natchnioną. Gdy Hitler gubił pod Moskwą tysiące i niepokój matek, prędzej niż świadomość, niby igła sejsmografu począł kreślić krzywe zwątpień i załamań, drzwi sklepiku pani Samulowskiej nie zamykały się od napływu gości. Pytano ją w zaufaniu, kiedy i jak skończy się wojna i co będzie dalej... Patrzyła przez firankę różańców na widoczną z okna kapliczkę „Ślicznej Pani", a jej eteryczna postać zdawała się promieniować tę niewygasającą nadzieją, która tu w Gietrzwałdzie ma niepojętą siłę. Nie bała się twierdzić, że „Niemcy muszą przegrać" i że „Polska tu przyjdzie". Do ostatnich dni życia w listach pisanych do córki wyrażała różne nieprawomyślne myśli i wierzyła w bliskość wyzwolenia. Zmarła w lutym 1942 r.

W roku 1945 księgarnia Andrzeja Samulowskiego została rozszabrowana. Podobno gdzie niegdzie można dziś nabyć na Warmii resztki nakładów warmińskiego „tatki". Zginął obok dokumentacji o objawieniach gietrzwałdzkich, których brak może zaciążyć bardzo poważnie w ewentualnych staraniach o oficjalne zatwierdzenie kultu przez Rzym, (dotąd zaniedbanych), także bardzo cenny relikt po panu Andrzeju: z dnia na dzień, wytrwale prowadzony pamiętnik. Przechowywano go troskliwie do ostatniego dnia niemieckiego zaboru. W przededniu wyzwolenia został spalony w panicznym odruchu.

Mimo te straty trudno być smutnym w Gietrzwałdzie. Niewiele zostało tu pamiątek przeszłości, jeśli nie liczyć samego miejsca kultu, ale to co trwa unosi się niby błękitny opar i rozświetla mroki. Jeśli nawet przygnębienie opadnie tu przybysza, to tylko po to, by triumfowała nadzieja.

Gdy nasłuchawszy się wspomnień i skarg na miejscowe dolegliwości, zamyśliłem się po raz nie wiadomo który nad tragizmem tutejszego ludu, ktoś położył mi rękę na ramieniu, miękkim, jakby pieszczotliwym ruchem i rzekł tonem pocieszenia:

— Niech się pan nie martwi. Niech tylko Polska ma dla nas więcej serca.

A po chwili dodał z przekonaniem w głosie:

— Wtedy i w Gietrzwałdzie będzie „piankniej".

Podniósłszy oczy, napotkałem na smutny ale spokojny wzrok warmińskiego „wiarusa". Tliła w nim owa dziwna, niewygasająca nadzieja, że złe nie może trwać wiecznie. A miał jej ten sam doświadczony pewnie przeciwnościami losu człowiek dosyć, by podzielić się nią ze mną, obcym przybyszem.

Tadeusz Sokół

Poszukiwanie

Skrzypiące skrzydła ważek otwarły pokój,
gdzie na murawie stołu
talerze pozbyły się tła,
mój ojciec gałąź buku
ciosał od boku do boku,
wiśnie
pod słońce lśniły
i pachniał żytni łan —

popłyń na sinych warkoczach
z zielonych łąk do domu,
promieniami
na stole kwietne dzbany omyj —

szukałem
w dziuplach wierzb,
pniach,
ruczaju,
gdy między dłońmi płynął i między palcami korzeń;

oczy miał żabie zmierzch —
w łopianach ukryty zając
lilie — policzki wody
śpiąc
wzrokiem otwartym śledził —

a mój ojciec klepał sierp księżyca,
co bocianem bielił się nad żytem —

i dom był pełen łąk
i łąki domu pełne,
dymiła woda mgłą
na kuchni
na wieczerzę,
kwiatami jechał wóz
dzień do skończenia spełniał
księżycem coraz złotszym
nad łąką
na stole w talerzach:

znalazłem
na rękach ojca
jak na gałęziach huśtawki...
całując
kłuł mnie wąsami
nad żabią,
zieloną sadzawką.

Stanisław Kolbuszewski

»Pieśń o Henryku Pobożnym«

Gdy romantyzm zachodni, odkrywszy piękno wieków średnich, jął na wizję poetycką je przetwarzać, romantyzm polski przed wstąpieniem na tę drogę się zawahał; takiego bowiem piękna, jakie dawało tamto średniowiecze, w Polsce nie znalazł. Nie było tu przecie takich kościołów gotyckich, ani takiego życia o ry-

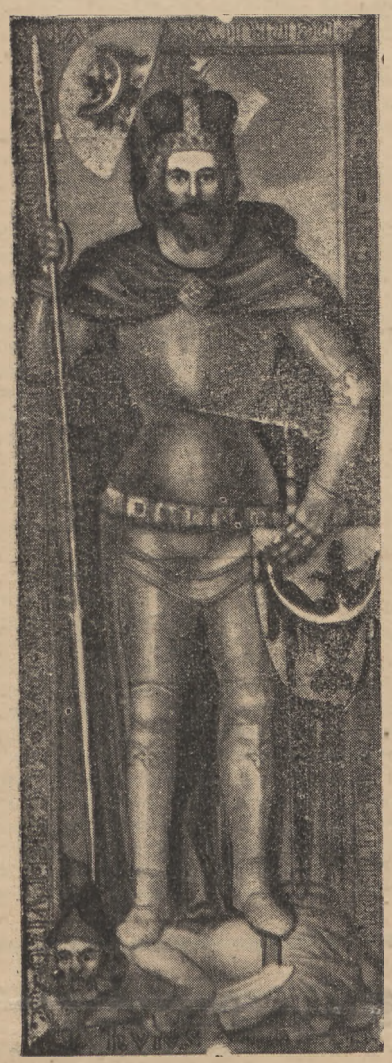

Henryk Pobożny, książę śląski, wielkopolski i krakowski, który zginął w r. 1241 w bitwie z Tatarami pod Legnicą. (Reprodukcja z płyty grobowej, XIV w. według dra Hermanna Luchsa „Schlesischhe Fürstenbilder des Mittelalters", Wrocław 1872).

cerskich zamkach, ani minstrelów i minesengerów, ani wypraw krzyżowych, słowem nie było tu tego, co skusiło wyobraźnię romantyków Zachodu.

Romantycy polscy dojrzeli jednak odpowiednik dla średniowiecza Zachodu w polskim wieku XVII, znalazłszy w nim zamki magnatów, znalazłszy barwne walterskotowskie, a jednak swoiste piękno kontuszowej Polski i równie swoiste, coś z czaru sielskiego mające, piękno polskiego dworku, a wreszcie rzeczywiste wyprawy krzyżowe przeciw Turkom i Tatarom. Wyobraźnię polskich romantyków oczarowała nie tylko historyczna rzeczywistość ile artystyczna wizja tej rzeczywistości. W ten sposób Polska XVII wieku, a jednocześnie niemal wogóle Polska Jagiellońska i elekcyjna dostarczyła tworzywa romantykom z Malczewskim, Słowackim i Czajkowskim na czele, a według tych tradycji literackich do owych epok zwróci się potem wyobraźnia Kaczkowskiego i Sienkiewicza.

Gdy jednak dla romantyzmu zachodniego piękno średniowiecza stało się identyczne z pięknem baśni, to nasi romantycy po baśń polską szli w czasy przedhistoryczne. Sztuka literacka przetwarzała legendę i tak zrodziła się „Wanda" Krasińskiego, „Krakus" Norwida i Słowackiego, „Popiel i Piast" Romanowskiego, „Stara Baśń" Kraszewskiego, czy fantazja Słowackiego o Balladynie i Lilli Wenedzie.

Do tego dochodziła jeszcze inna sprawa, również w romantyzmie swój początek biorąca. Sformułował ją coprawda pierwszy Schiller, ale definitywnie jako postulat ujął A. W. Schlegel: celem tematu historycznego jest misja patriotyczna, mianowicie przez pokazanie świetnej przeszłości ma literatura zbudzić wiarę w wielką przyszłość narodu. Tę myśl podjęli nasi romantycy skwapliwie i po czasy Sienkiewicza rozumiano, że temat historyczny służy poecie dla pokrzepienia serc. Otóż znowu do tego nadawały się doskonale — z tych czy innych powodów — czasy świetności Jagiellońskiej oraz epoka elekcyjna.

Raz stworzony schemat przetrwał lat kilkadziesiąt. W tym schemacie pominięto niemal całkowicie epokę Piastów. Waściwie ostatnim jej piewcą był Niemcewicz w „Śpiewach historycznych", bo za piewcę czasów Piastowskich nie można uznać ani Wężyka czy Kropińskiego, ani Krasińskiego jako autora „Władysława Hermana", ani Korzeniowskiego jako autora „Mnicha". Był jeszcze „Król-Duch" Słowackiego, ale za życia poety pojawił się tylko 1 rapsod, osnuty właśnie na czasach legendarnych, a późniejsze rapsody o królach rodu Piastowskiego stanowiły już tylko konsekwentnę rozwinięcie metafizycznego założenia poematu i stanowiły zresztą tylko część zamierzanej całości z dziejów Polski.

Poetą epoki Piastów stał się dopiero Stanisław Wyspiański.

Wśród swoich piastowskich kreacyj umieścił on również, jako jednego z duchów „pierwoidących", Henryka Pobożnego.

Ale nie on pierwszy poematem osobnym wielkość i dzieło śląskiego książęcia opowiedział — miał w tym poprzednika w Auguście Bielowskim.

Swoją „Pieśń o Henryku Pobożnym" napisał trzydziestoletni Bielowski ponoć w lwowskim więzieniu, gdzie za udział w konspiracji politycznej w roku 1834 na dwa przeszło lata osadzony został. Później znacznie, bo dopiero w roku 1839 zamieścił on rapsod w założonym przez się we Lwowie almanachu „Ziewonia" (którego tom pierwszy w roku aresztowania się pojawił, a tom drugi w cztery lata potem w Pradze; tomu tego wydanie drugie, powiększone, wyszło w Strasburgu we wspomnianym już 1839 roku, właśnie z poematem Bielowskiego).

Ta poetycka wizja bitwy lignickiej jest kompozycyjnie pomyślana wcale oryginalnie: mianowicie tok całej pieśni rozdzielił autor na trzy epizody, ujęte zupełnie wyraźnie jako tryptyk literacki. W tryptyku tego obu skrzydłach tj. w części pierwszej i trzeciej występuje postać Pobożnego księcia, w środkowej zaś partii tj. w epizodzie drugim jego matki, św. Jadwigi i na nią poeta tutaj całą uwagę skierował. Rozkład materiału na wzór tryptyków kościelnych utrzymał Bielowski konsekwentnie w dalszej rozbudowie obu „skrzydeł", każde z nich bowiem posiada trzy zupełnie wyraźnie odcinające się od siebie obrazy, gdy część środkowa, hierarchicznie dominująca nad innymi, ma tylko wspomniany obraz jeden, z centralną postacią św. Jadwigi.

Na początku pokazał autor na chwilę Henryka Pobożnego, klęczącego w kościele przed ołtarzem Bogarodzicy i śiącego ku Niej modły, zaraz zaś potem gi doskonały, nastrojowy obraz pól lignickich, objętych z jednej strony „przerzystą Nysą" i na tym tle dwu grup wojsk: Tatarów, których oszczepy się zjeżyły, a burki zaczerniły i wojsk Henryka. Trzeci wreszcie, ostatni i najdłuższy obraz tej części pierwszej przedstawia już samo kłębowisko walki, gdy wojska śląskie i małopolskie pod wodzą swoich „hetmanów" rzuciły się na tłumy tatarskie; dwukrotnie poeta zwrócił tu uwagę na czarodziejskie praktyki Tatarów, którymi chcieli zastraszyć wojska Henrykowe. Z tego wreszcie ogólnego zamętu wydobył jeden fragment, najważniejszy — oto Henryk z pocztem swoim uderza na przeważające zastępy wroga. zwala przeciwników na ziemię, depcze

„huf przedni i w środek się porze;
Gęste go tłumy połknęły, jak morze."

W momencie najsilniejszego natężenia walki tymi słowy Bielowski efektownie część pierwszą urywa, spełniając żądanie romantyzmu opowieści pewną tajemnicą.

W zupełnie odmiennym kolorycie jest utrzymana część druga. środkowa tryptyku. Na zamku w Krośnie zebrana rodzina Henryka modli się o zwycięstwo; są tu, otoczone „bogobojnymi niewiastami", żona księcia, Anna, jej córki „dwie wpół rozkwitłe dziewki" i pani świętobliwa, Jadwiga", której „ciało postem i modły, jak wosk pozorniało". Akcent poetycki pada na postać św. Jadwigi, ażeby wydobyć rysy jej świętości i tej świętości promieniowanie na całe otoczenie już w dawniejszych, przedwojennych czasach. Opowiedziawszy o tym wszystkim w kilkudziesięciu trafnych słowach, pokusił sie autor naraz na wprowadzenie luźno z całością związanego wtrętu, a mianowicie dał opis kart książki do nabożeństwa. „skarbnicy duszy", z której święta księżna się modli.

Jest to artystyczny filigran, doskonała miniatura literacka, narysowana z dużą precyzją szczegółów i tutaj Bielowski okazał się mistrzem w rodzaju Teofila Gautier, twórcy „Emaux de Camées". Ale opis ten kompozycję poematu psuje, kompozycję przemyślaną starannie i konsekwentnie przeprowadzoną, odrywa uwagę od tematu zasadniczego, a zwraca na rzecz napozór uboczną i zbyteczną. Napozór zaś dla tego, że wprowadzenie tego szczegółu ma swoiste uzasadnienie — w tradycji historycznej. uznającej — mylnie zresztą — jeden z zabytków staropolskich za modlitewnik św. Jadwigi, w związku z napisem (z XVII wieku!!) na modlitewnika tego

Napad Tatarów (Drzeworyt z legendy o św. Jadwidze, druk Baumgartena z r. 1504).

futerale „Libelus precarius, quo utebatur S. Hedvigis ducissa..." itd. W ten sposób nazwał piętnastowieczną książeczkę do nabożeństwa jej wydawca Jan Motty w r. 1823 i ta nazwa na długi czas do niej przylgnęła, póki jej znowu inaczej „modlitewnikiem Nawojki" nie przezwano. Bielowski jednakowoż dwie rzeczy tutaj z sobą poplątał tzn. wspomnianą książeczkę i któryś z Psałterzy — floriański z XIV wieku, uznany przez Bandtkego za własność królowej Jadwigi, żony Jagiełły, (a

Krajobrazy jeleniogórskie

W drodze na Śnieżkę wycieczkowicze z zainteresowaniem przyglądają się długim, poziomym sopłom, ozdabiającym prawie każdy słup, drogowskaz lub drzewo.

Wiatr misternie cyzeluje każdy krzak.

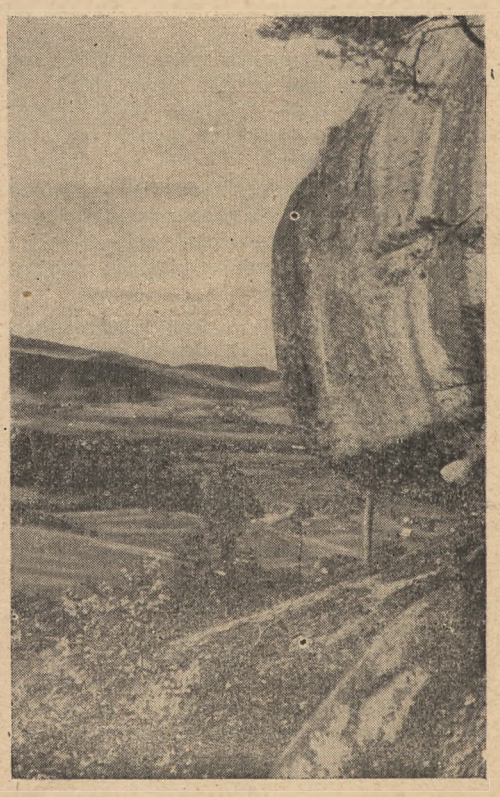

Widok na zachodnią część doliny Jeleniogórskiej.

Zamek w Chojnastach, widziany od strony „Diabelskiej Doliny".
Foto Leonard Siemaszko, Katowice

ową hypotezę Bandtkego podtrzymywali ostatnio Bruchnalseki i Brückner) albo „Psałterz Puławski", zwany również przez niektórych „Psałterzem królowej Jadwigi". Bielowski te tradycje znał, ale w miejsce modlitewnika przez pomyłkę podstawił „księgę", z której w święta wraz z dworem śpiewa psalmy pokutne. I dalej, tzw. „modlitewnik św. Jadwigi jest książeczką skromną i małego formatu, tutaj zaś mowa o księdze bogato iluminowanej, będącej „tworem pracy niezmiernej, natchnionych myśli i ręki misternej", a wszystko to już tylko do jednego z psałterzy odnieść się daje.

Oprócz tej podwójnie pomylonej tradycji historycznej kierował Bielowskim inny jeszcze wzgląd, że motyw ten wprowadził, a wzgląd ten z estetyki romantycznej, mówiąc ściślej z walterskotyzmu wyprowadzał. Szło mu o wywołanie kolorytu epoki, o podcieniowanie czysto dekoracyjnym fragmentem charakteru czasów, na których tle wypadki się rozgrywają, aby tym sposobem stworzyć atmosferę historyczną". To wywoływanie historycznego kolorytu przy pomocy zewnętrznej wierności szczegółów było jednym z elementów romantycznego „mal du siècle" i nie kto inny, jak właśnie sam August Bielowski w listach do Ludwika Nabielaka z 15 sierpnia i 11 listopada 1832 r. tym się zachwycał, mówiąc o historyczności i narodowości „Bieleckiego", a więc poematu, w którym Słowacki szczegółami zewnętrznymi kolorytu historyczny epoki wydobyć pragnął. Tak więc rozbijając linie kompozycji i harmonijny układ poematu w gruncie rzeczy psując, był autor nieodrodnym dzieckiem swojego czasu i zapewne z dumą na takie pojmowanie pracy poetyckiej spoglądał. Postulatom estetyki romantycznej Bielowski w inny jeszcze sposób się **nie** sprzeniewierzył, tym zaś razem postulatom nadbudowy rzeczywistości przez wizję. otrzymywał teraz swoje wyjaśnienie, a otrzymywał je z ust świętej i — — — matki:

Z średniowiecznej „Vita St. Hedvigis" i z Długosza mógł wiedzieć, że św. Jadwiga miała objawienie o śmierci syna jeszcze przed jego wyprawą, ale ani słowem go nie wstrzymała, owszem pogodnie i z weselem w sercu pożegnała. Otóż Bielowski ten motyw zmodyfikował w tym sensie, że dopiero w momencie, gdy Henryk ginie, św. Jadwiga w jasnowidzeniu tę śmierć ogląda. W ten sposób scena na zamku była pomyślana jako równoczesna z samą bitwą i autor zręcznie do przerwanego rozmyślnie w części pierwszej obrazu bitwy tutaj nawiązując, uzasadniał artystyczną potrzebę całej tej sceny z św. Jadwigą, sceny pozornie tak niewchodzącej w ramy tematu. Tajemniczo zaś przerwany opis bitwy

„Wkoło go zgraja otacza zjadliwa,
Wzniósł ramię, walczy, włóczń mu
[pierś przeszywa..."

Bolesnym wykrzykiem „Synu!" zamykał poeta to widzenie i dawał finał wojnie lignickiej.

Cała ta kompozycja bitwy jest pomyślana zatem wcale misternie. Przerwanie jej opisu w momencie najbardziej dramatycznym części pierwszej, aby wytrzymać ciekawość czytelnika czas długi, dając mu obraz niewiast modlących się o zwycięstwo, obraz pojęty jako kontrast ciszy do poprzedniego — wrzawy wojennej i dopiero potem pokazanie bitwy tej zakończenia, już nie wprost, ale jako widzenia matki, świadczy, że efektami poetyckimi autor operować umiał śmiało i udatnie. Wyuczył się zaś tego może głównie u Walter Scotta, który używał motywów tajemniczości jako środka kompozycyjnego, a tak właśnie Bielowski postępuje, samodzielnie naukę tę wykorzystując.

Nie należało zwłaszcza do rzeczy łatwych połączenie w postaci św. Jadwigi dwóch pierwiastków: świętości i uczuć macierzyńskich. Otóż Bielowski dokonał tu rzeczy godnej uznania; podniosłe, na patosie proroctw Starego Testamentu jej słowa, przerywający naraz okrzyk „Synu!" — odsłaniał w świętej kobietę, matkę i tak utrzymana została prawda psychologiczna, ukazywała się od wewnątrz — dusza ludzka.

I znowu w trzeciej części przenosił poeta czytelnika na plac boju po zakończonej bitwie. I tutaj kompozycja była trójdzielna jak w części pierwszej: był szkic obrazu ucztujących, zwycięskich Tatarów; następnie jako jego kontrast szkic zrozpaczonej żony, pochylonej opodal na tymże polu nad trupem Henryka i wreszcie trzeci obraz, odtwarzający nagrobek księcia we wrocławskiej świątnicy, a więc transpozycja sztuki plastycznej na język poetycki:

„... powstaje walecznik we zbroi;
To on, toż czoło, ta źrenica modra,
Na zbrój opadły kędzior, kord u biodra.
Sążnista w krzepkiej prawicy kopija,
Zdeptany Tatar pod nim w kłąb się zwija.

Trudno było dać lepszą wizję książęcego nagrobka i to wywołaną nielicznymi, wprost skąpymi słowami.

Na sam wreszcie koniec następowała apoteoza Henryka, znów kilku tylko słowami stworzona o księżach, którzy śpiewają mu zmartwychwstanie.

Cały ten, nieduży rozmiarami poemat jest robotą literacką dużej wartości; zadziwia zwłaszcza wielka ekonomia słowa, którym poeta umie stworzyć gotowe szkice czy obrazy, dające coprawda nie barwę, ale za to zawsze kształt. Był więc Bielowski artystą nieprzeciętnym, o dużej literackiej kulturze i to artystą, którego ambicję stanowiło stworzenie poematu nie o jakiejś wymyślonej fabule, ale opartego wyłącznie o materiał historyczny. Wszystkie bowiem postaci i wydarzenia wzięte są z rzeczywistości i na rzeczywistych dokumentach oparł autor całą treść utworu, również z treści tej elementami cudowności i niezwykłości. Zamierzał najprawdopodobniej stworzyć nowy typ pieśni u starej pieśni słowiańskiej, znanej mu doskonale z własnych tłumaczeń i studiów, a wskazywały by na to również niektóre reminiscencje czy to ze „Słowa o pułku Igora" (niedawno przezeń przetłumaczonego), czy analogie choćby z „Królewiczem Markiem". Sama postać księcia Henryka była tu pomyślana jako rycerza bez skazy i zmazy, obrońcy ojczyzny i męczennika za wiarę i bardziej niżeli Igora przypomniała Rollanda z „Chanson de geste".

Mimo zaś wyraźnych nawiązań do postulatów estetyki romantycznej, z rapsodu tchnie raczej duch średniowiecza, wywołany nietylko próbą stworzenia kolorytu dawności i budową tryptykową, ale może nade wszystko ujęciem dwu głównych postaci, św. Jadwigi i Pobożnego Henryka, których rysów poeta nie definiuje, ale suggeruje je, jak rzeźbiarze średniowiecznych posągów.

Notatka biograficzna. Bielowski urodził się w roku 1806, kształcił we Lwowie; pierwsze utwory własne i tłumaczenia pieśni słowiańskich drukował w „Rozmaitościach" lwowskich i „Halicz'anie". Wziął udział w powstaniu listopadowym, poczem osiadł w Galicji. Aresztowany w r. 1834. Po zwolnieniu prowadził pracę badawczą nad przeszłością słowiańską, jednocześnie pracując w Ossolineum, od r. 1851 był Zakładu tego kustoszem i od r. 1869 dyrektorem. Zasługą jego ogromną stanowi utworzenie wydawnictwa „Monumenta Poloniae Historica", gdzie m. in. sam w trzech tomach wydał kroniki i roczniki polskie i niektóre obce (trzeci tom wyszedł w roku jego śmierci). Szereg prac historycznych napisał, z nich najbardziej znamienna: „Wstęp krytyczny do dziejów Polski", niejako naukowa próba ukazania świetnej przeszłości przedhistorycznej, w istocie fantazja podobna do poetyckich falsyfikatów czeskiego Hanki. Umarł nagle 12 października 1876.

Aleksander Baumgardten

ZDRADA

Wielki, zielono-żółty sad stał i pachniał we wrześniowym słońcu, wpięty w butonierkę pierwszych domów przedmieścia. Rosochate drzewa: jabłoni, grusz i śliw patrzyły z wytężeniem prosto w zachód oparte plecami w aksamitny cień. Wzdłuż wysokiego parkanu. otaczającego prostokątem opieki całą tę zieloność, właścicielka — Anastazja Lichacz odbywała właśnie swój codzienny rejs inspekcyjny. — Jak codzień o tej porze, żeglowała od brązowych sztachet pod liliowe przystanie śliw i od przycupniętych w kącie za budą — dyń, kalafiorów i głów kapusty ku wzniosłej, subtelności jesiennej pogody przewlekającej już, zwłaszcza w te niegłośne wieczory końcami palców po wierzchołkach drzew, koronach kwiatów i ludzkich oczach.

Pani Anastazja, siwa i obojętna na odcienie i półtony rozgarniała bystrymi oczami sześćdziesięcioletniej samotniczki — poplątane gąszcza swego sadu. Sękate ręce chwytały raz nienawistną gąsienicę, to zeschły liść lub zgniły owoc i unicestwiały je ruchem prędszym niż myśl. Pomyłki i wahania nie było nigdy. W taki sam zresztą sposób pani Anastazja wyrwała była przed paru laty jeszcze ze swych wspomnień myśl o jednej córce, która „puściła się" z jakimś kolejarzem, co zresztą nie byłoby najgorsze ale za jego wskazówkami zaczęła namawiać matkę, by sprzedała sad i przeniosła się z pieniędzmi do nich. To rozstrzygnęło sprawę. Tego samego dnia stopa Hanki Lichaczównej ostatni raz dotknęła ziemi i krzewów w sadzie pani Anastazji. Tej zaś nie przyszła nawet do głowy możliwość dokonywania wyboru między sadem a córką. — Córkę miała od 19-tu lat a sad...

Sad był jej wszystkim. Sad zastępował jej od najwczesniejszych lat każdy, zwyczajny i ludzki przejaw życia. Był jej chlebem i dachem, mężem i pocałunkiem. Na samym zaś końcu stał się jej córką. W jego pogmatwanej głuszy zakopała po kolei swą młodość potem męża, wreszcie zaś wszystkie uczucia i porywy jakie się tylko mogły narodzić między rokiem 1880-ym a torem Kleparowskim. Poza te dwa fakty wychodziła tylko z konieczności (jedną z nich była ślubna fotografia zrobiona „w mieście").

Reszta tych sześćdziesięciu lat minęła w zwierzęcej pracy, w sadzie w którym ryła, kopała, wydrapywała wprost z serca ziemi każdy zosobna listek, każdy głupiutki pęd. Jak Furia rzucała się z jednego kąta sadu ku drugiemu, z motyką czy nożem w straszliwej walce z biologią, którą co roku, każdego roku z tych sześćdziesięciu — zwyciężała w krwawym pocie i ze złamanym grzbietem. Co wiosny, gdy na Kleparowie grać poczynały słowiki i harmonie, a młode pary wtulone w siebie barkami schodziły z ulic na ścieżki, a ze ścieżek w miłość — Anastazja zawsze sama, tłukła się między żebrami drewnianych sztachet: gorzka i nieukojona z żółtymi zębami wysuniętymi z wąskich ust — jak nieuciszone nigdy serce.

Za taką cenę, zdobyła Anastazja Lichacz swój sad. Wydrapała go ze swojej ziemi. nakryła swoim niebem, ogrodziła własnym parkanem i opłaciła swoją jedyną stawką. Przeszły lata, okolice stawu stały się kamienne i ulicowe, miasto stanęło niemal u furtki, a Anastazja Lichacz spostrzegła, z tego wszystkiego tylko to, że targ na owoce i warzywa przeniósł się o kilometr bliżej jej drewnianej budy w tyle sadu, w której mieszkała i której poza jabłkami czy pomidorami nie odwiedzał nawet księżyc. Zresztą pogodne, niezimowe noce spędzała i tak na lisich wędrówkach po swoim przeklętym królestwie, sama i straszna z krzywym kosturem w ręce w wieczným podejrzeniu na wszystkich dziesięciolatków z całej dzielnicy którzy mogliby przesadziwszy chyba cudem wysoki, zadrutowany u góry

Stanisław Telega

Odwiedziny w Bibliotece Miejskiej w Szczecinie

Wiedziałem o niej od początku. Znałem ją nawet „z widzenia", przejeżdżając szczecińską „trójką" do dworca. Właśnie bowiem tu, na zakręcie, przed linią, skręcającą w stronę dworca, widywałem ją często, nie przypuszczając jednak, że kiedyś zakocham się w niej na zabój. Dzieje tej miłości — — — do Biblioteki Miejskiej w Szczecinie, są następujące.

Pewnego dnia spotkałem przypadkowo na ulicy dyrektora Biblioteki Miejskiej. W trakcie normalnej „pogadanki" o wszystkim i niczym zagadnąłem go o ilość książek, posiadanych przez Bibliotekę. Kiedy usłyszałem cyfrę 300.000 tomów otwarłem szeroko oczy przypuszczając, że się po prostu przesłyszałem.

— Ile? Ile? szanowny panie! 300.000 tomów! Co też pan mówi! Może 3.000?

— Nie — — — Tak, jak panu powiedziałem — — — 300.000 tomów, w tym 20.000 starodruków.

Popatrzyłem podejrzliwie na młodego dyrektora, czy nie jest to przypadkiem jaki łagodny maniak, którego nerwy nie wytrzymały pod naporem swoistego ciężaru życia szczecińskiego.

— 300.000 tomów — powtarzał jednak uparcie dyrektor jednostajnym, jakby znudzonym głosem — w tym 20.000 starych druków, często bezcennej wartości... — Chce pan zobaczyć np. zarządzenia księcia szczecińskiego, Darnima, zarządzenia drukowane w Szczecinie?... Albo atlas składający się z 30 map, przedstawiający mapy Europy, Ameryki, Azji z r. 1623!... A może pan woli mapę Pomorza z r. 1618. Mamy też rękopisy łacińskie z r. 1368. Jeżeli ta data panu nie odpowiada, to pokażę panu rękopis z r. 1213.

Nie, nie wytrzymałem. Tak nie wytrzyma żaden z ludzi, których natura pokarała zamiłowaniem do książek, w jakimkolwiek by one były pisane języku i którzy na widok ciekawych druków zapominają o pięknym bożym świecie wlepiając zahypnotyzowany wzrok w karty książek. Tyle książek, tyle skarbów i to tu, w Szczecinie, o którym wciąż jeszcze pokutuje w centralnej Polsce opinia, że jest to miasto „Dzikiego Zachodu".

Nie wytrzymałem więc i tego samego jeszcze dnia wybrałem się w odwiedziny do tajemniczego gmachu przy ulicy Dworcowej. Czteropiętrowy gmach stoi sobie skromnie na zakręcie ulicy Dworcowej, odsłonięty w całej niemal okazałości, dzięki zburzonym budynkom, zasłaniającym niegdyś jego front od strony ulicy. Pora jest dosyć późna, cierpliwy i uprzejmy dyrektor, p. Stanisław Siadkowski, chętnie oprowadza mnie po gmachu i udziela ciekawych wyjaśnień. Już w przedsionku zatrzymuję się, zaskoczony masą książek leżących na... schodach.

— To — mówi p. Siadkowski — są książki, które dopiero wczoraj zwieźliśmy ze skarbca byłego Banku Drezdeńskiego, znajdującego się obok kościoła św. Jakuba. Niemcy obawiając się widocznie nalotów przenieśli do tego skarbca, oprócz wielu innych rzeczy także najcenniejsze książki i katalogi podręcznej biblioteki miejskiej. Wszędobylscy szabrownicy jednak „wywęszyli" niedawno ten skarbiec, podminowali jedną ścianę gmachu i przez wyłom w murze dostali się do wnętrza. Srodze się jednak zawiedli, gdyż w skarbcu nie było pieniędzy czy klejnotów, były natomiast bezcenne często obrazy i książki, które horda szabrownicza porozrzucała, częściowo pokradła i zniszczyła. Z braku funduszów nie mogliśmy niestety książek tych zwieźć wcześniej. Z braku funduszów — to jest ów tragiczny refren, powtarzający się wszędzie, gdzie się w Szczecinie napotykamy na sprawy kultury. Nie brak go i w Bibliotece Miejskiej. Przechodzimy jednak dalej, poprzez korytarz. W pewnym miejscu widzę duże, ciężkie kasy ogniotrwałe ustawione żelaznymi blokami pod ścianą. P. Siadkowski podchwytuje moje spojrzenie.

— To są kasy pancerne byłego dyrektora niemieckiego Biblioteki... do dziś nieotwarte.

— Jakto! Do dziś nie otwarliście tych kas! Przecież tam mogą być...

— Z braku funduszów... — słyszę stereotypową odpowiedź. — Pan wie przecież... trzeba specjalisty, żeby taką kolubrynę żelazną otworzyć... a na zapłacenie specjaliście - ślusarzowi potrzeba pieniędzy. Zabieg to, jak się informowałem, dosyć kosztowny.

Dziwy, doprawdy dziwy mieści ta Biblioteka. Na schodach książki, wydarte dopiero wczoraj szabrownikom, tu zaś szafy do dziś nie otwarte.

Oglądam je jeszcze raz, te szafy i nie mogę wyjść z podziwu.

— A przecież tam mogą być rzeczy naprawdę cenne, skoro je schowano aż w takim ogniotrwałym pomieszczeniu. Może jakie rodzinne klejnoty „des Herrn Direktors"...

— Przypuszczam — odpowiada p. Siadkowski — że nie... raczej jakieś wyjątkowo cenne rękopisy i katalogi i obrazy. Wolałbym zresztą, żeby tu były nie klejnoty, ale jakieś uczciwe maszyny do pisania, których nam bardzo brak.

— A których nie możecie kupić... „z braku funduszów".

— Tak — odpowiada z westchnieniem p. Siadkowski.

Wzdycham i ja i przez chwilę krążymy w melancholijnym nastroju po pierwszym piętrze. Po drodze opowiada mi p. Siadkowski o losach samej Biblioteki. Za czasów niemieckich należała dzisiejsza Biblioteka do najlepiej urządzonych i zaopatrzonych bibliotek niemieckich. Niemcy stworzyli tutaj potężną bazę kulturalną, która miała służyć całkowitemu zgermanizowaniu Pomorza Zachodniego, jednocześnie zaś ściągać uczonych, naturalnie niemieckich, do kontynuowania nauki niemieckiej. Tym się tłumaczy olbrzymia ilość cennych druków i książek, z których większość mimo działań wojennych i szabrowniczych, szczęśliwie się zachowała.

Z początkiem lipca ub. r. Bibliotekę przejęły władze polskie, prace jednak nad uporządkowaniem Biblioteki rozpoczęto dopiero w sierpniu ub. r. Naturalnie z początku wszystko szło bardzo ciężko. Ale nie tylko z powodu przysłowiowego „braku funduszów", lecz także z braku ludzi, chętnych do pracy na tak niewdzięcznym

parkan dotknąć świętokradczą ręką, któregokolwiek drzewa czy owocu. Nie zdarzało się to jednak nigdy. Od najdawniejszych czasów wszystko to co miało serce po lewej stronie ciała omijało zakątek za brązowym parkanem na mocy tradycyjnego nawyku — jak zarazy. Nawet przekupnie owoców dochodzili tylko do dębowej furtki i jękliwym dzwonkiem wywabiali z głębi sadu tylko tę parę spracowanych rąk, przez które sztuka po sztuce przechodziły do ich koszyków i płacht owoce: wielkie i małe, soczyste i jędrne, kolorowe czy pachnące. Potem dzwoniły przeliczane pieniądze. A jeszcze później przychodziła chwila rozstania. I żadna matka, wyprawiająca w świat swe dzieci nie miała nigdy tyle czułości pod powiekami i w końcach palców ile ta dziwna ogrodniczka, ciułająca w skórzanym woreczku pieniądze a w sercu krzywdę. Oczywiście z tych dwóch schowków serce było obszerniejsze ale też i tamte oba dochody nie przychodziły bynajmniej proporcjonalnie.

Tak mijały lata. Trzy pory roku (zima się u Lichaczowej nie liczyła) — nadchodziły szczeniackimi pomysłami najmłodszych listków, które wybuchały w najmniej oczekiwanych miejscach na przegubie gałęzi, czy w fałdzie którejś grządki. Trwały w okrągłej pełni dojrzewania wśród delikatnej tajemnicy pylników i słupków, jednych niecierpliwych ku miłości, drugich — rozwartych w oczekiwaniu i już poddanych. Przechodziły wreszcie w miesiącu, w którym na niebie spadały gwiazdy a w sadzie — jabłka. To było samo życie.

Gdzież tu wobec tego mogły się zmieścić wydarzenia ostatnich lat, przemarsze i biwaki tych lub owych mundurów. Odgłosy bomb nie odstraszyły gąsienic ani salwy karabinów maszynowych nie zmieniły obyczajów korników. Tak więc lata bolszewickie przeszły niemal nie zatrzymując się obok dębowej furtki w parkanie.

Nadeszły czasy niemieckie. Po przychylnej jesieni przeszła Anastazja Lichacz wraz z sadem i 400.000 innych ludzi — to było mniej ważne — jedną z najgorszych zim. Potem krótka wiosna i uczciwie zarobiona nagroda: lato, lato, lato.

Tak nadszedł wrzesień.

Tak też nadeszła jedna z nocy pachnących dojrzałością, kiedy już godziny oddawna nie mają znaczenia a kawałki księżyca gubią się w cieniach gałęzi i krzewów. Pani Anastazja, jak zwykle, trwała na samotnej straży, skulona na pniu, niedaleko swej drewnianej siedziby z oczami leżącymi jak dwa stare i wierne psy u furtki, przy samym początku ścieżki wydeptanej przez nią samą od początku jej świata. W wielkiej ciszy sadu nie działo się nic, chyba tylko wzbierał sok w cierpkawym miąższu śliw i ogromne, dojrzałe jabłka ciężarem tęskniły do ziemi. Poza tym nic.

Nagle stało się coś, od czego wstrzęsła się Anastazja Lichacz, wstrzęsła się od nasady siwych, pomierzwionych włosów aż po sam koniec sękatego kija, tkwiącego w jej rękach. Oto jedna z desek parkanu, jej dumy i Alkazaru skrzypnęła leciuteńko i odjechała w bok. Za nią poszła druga. Przez powstały czarny prostokąt ukazała się najpierw głowa z prawą ręką aż po bark, następnie plecy, wkońcu zaś nogi i druga ręka jakiejś postaci. Po przekroczeniu płotu, postać wciąż zgięta i odwrócona plecami od Lichaczowej zasunęła starannie dziurę w parkanie, następnie, wybrawszy miejsce gdzie było więcej gałęzi niż księżyca, cichym prześlizgiem (od którego Lichaczowa się wzdrygnęła) znikła i przestała być. Anastazja, która do ostatniej chwili nie wierzyła własnym oczom, zapamiętała tylko z tej zjawy jej bladą twarz i gęstą czarną brodę.

Cała ta nieprawdopodobna sprawa trwała wraz z brodą i pogwałconym parkanem, kilkanaście sekund, lecz to wystarczyło aż nadto, by cały świat zawalił się na siwą głowę Anastazji Lichacz. Jakto, więc czarnobrody nie wie, że sad ten jest jej i tylko jej, że złamał nie parkan lecz jej dwoje rąk, że depce nie miękką pościółkę sadu lecz jej własne, starcze ciało. Och jakżeż musiały płakać i jęczyć ćwieki w parkanie, jej parkanie, wyrywane nieludzką ręką tego zbrodniarza, jak musi się trząść z obrzydzenia i odrazy cień tych dwóch śliw, w którym teraz dyszy ten świętokradca.

Poraz pierwszy w życiu Lichaczowa poczuła się bezsilna. Tu już nie wystarczyła jej ponura sława, na nic się nie mógł zdać stary sękacz drewniany, skręcony jak ona sama. Tamten człowiek był obcy. Żaden z sąsiadów nawet najdalszych nie zrobiłby tego, nie mógłby tego zrobić.

A tamten siedział czy leżał w cieniu jej śliw i czekał. Czekał ze swoją czarną brodą i bladą twarzą nie na jej pieniądze (o tym nawet nie pomyślała) — nie — czekał aż ona zaśnie a wtedy...

Wtedy zacznie kraść. Będzie trząsł słodkie gruszki i wspaniałe jabłka. Otrząsane, omszałe śliwki, koło których przechodząc zamykała z ostrożności oczy, sypną się bezcennym gradem podczas jej snu.

A niedoczekanie twoje: — warknęła zajadle po lwowsku i ściskając kurczowo makbetowski kostur — wparła przekrwione oczy w księżyc. Tak przetrwała resztę nocy aż do późnego świtu, kiedy z sąsiednich domów pierwsze dymy odeszły w niebo.

Wtedy z nienacka spadł na nią starczy, duszący sen, który tłukł kołtuniastą siwą głową po miękkiej trawie sadu i nie pozwalał jej umrzeć z rozpaczy ilekroć nie potrafiła się zbudzić. Zlitowało się nad nią dopiero słońce, ale kiedy trzęsąc się jeszcze od sennych okropieństw podbiegła ku miejscu zbrodni — nie było już tam nikogo. W samym środku udeptanej przez tamtego trawy leżało 17 pestek ze śliwek. Policzyła je sumiennie i niewiadomo czemu położyła z powrotem na miejscu.

Potem sprawdziła parkan i długo wodziła czułymi palcami po drzazgach w oderwanych sztachetach, jak to robią niewidomi, kładący ręce na twarzach osób które chcą rozpoznać albo zapamiętać. Wybitych gwoździ nie wbiła z powrotem lecz podobnie jak pestki obejrzała je uważnie i położyła tam, gdzie leżały. Następnie — już zupełnie spokojna, odbyła zwykłą inspekcję sadu, podniosła parę spadłych podczas jej snu owoców, porozumiała się z kapustą i mruknęła coś z aprobatą w stronę rozkwitłych georgonii. Od furtki zajęczał dzwonek. Zaczynał się nowy dzień Anastazji Lichacz, dzień w którym, w żadnym wypadku nie było miejsca ani na czarną brodę ani ña drżący w rękach kostur. U furtki stała już tęga przekupka, pani Józefowa, jedna ze stałych klientek i o jakiejkolwiek kompromitacji nie mogło być mowy.

W czasie ważenia pękatych papierówek u furtki los przyszedł jednak do głosu.

Czy Paniusia dobrze dziś spała? — spytała w pewnej chwili odbiorczyni pachnących okrągłości, przesuwając z zamiłowaniem palcami po delikatnej barwie wspaniałej papierówki, trzymanej w ręku.

Gdyby piorun padł u stóp pani Anastazji nie byłby jej tak przeraził, jak te właśnie słowa. Sztachety parkanu przeterkotały jej brązową mitraliezą przez oczy a całe ciało wstrząsnęło się od dreszczu. Na szczęście dla niej pytająca mówiła raczej do owocu trzymanego w ręce niż do niej, tak że piękne jabłko zdołała tym razem wyratować swoją wychowawczynię. Piękny dowód dziecięcej wdzięczności.

Ja, — jak ja spałam? No... tak.. jakto — zniecierpliwiła się wreszcie — jakto jak spałam? — Spałam jak zawsze. Albo co?

A to panusia szczęśliwa, że nic nie słyszała. Koło nas całą noc latali i krzyczeli. — A strzelali — aż strach!

Kto strzelał? Kto krzyczał? — nie zrozumiała Lichaczowa. Pani Józefowa obejrzawszy się, szepnęła jej w same ucho.

No któżby inny — Gesztapo!

Ale Anastazja Lichacz nie lubiła niejasnych sytuacyj. — Więc niby jak ustalała rzeczowo, czyszcząc dokładnie mosiężną wagę — złodzieja pewnie łapali, czy co?

Ale jakiego tam złodzieja, trzęsła się tam ta od narkotyku sensacji? całą paczkę nakryli — mówią, że polityczni: dwóch uciekło, jednego zabili a trzech poprowadzili do miasta. Ale taki dwóch uciekło klasnęła z triumfem rękami — strzelali za nimi, ale gdzie, gdzie. Tamci tylko przez sady, przez parkany, tędy — wie paniusia — koło strzelnicy wojskowej i tyle ich widzieli. Ale szukają za nimi dalej, od samego rana. Gesztapo i te milicjanty ukraińskie. Mówią, że do miasta im nie uciekną, bo jeden z nich znaczny i w oko bardzo wpada. Niby, że ma czarną brodę, jak smok.

Jak — Co pani mówi? Czarną brodę. Pani Anastazja pożeglowała myślą ku 17 pestkom i nastraszyła się w czujnej uwadze.

Jak smok — paniusiu. Czarną brodę. I kule się go nie chwytają. Milicjant do niego — trzas. Z dwóch kroków: A on tylko machnął ręką i kula na lewo a on przez płot. Tylko broda mignęła.

Pani Józefowa spieszyła się do swojej budki z owocami. Poza tym była już bezbronna. Niczego więcej nie wiedziała. Zato Anastazja Lichacz poraz pierwszy poczuła ciężar myślenia. Pierwszy też raz w życiu nie pożałowała wzrokiem uprowadzonych przez panią Józefową jabłek i tylko raz przeliczyła otrzymane złotówki. To było niepokojące.

A tymczasem dzień był, jak inne. Nad światem stało słońce i wojna. Na nieszerokich ulicach przedmieścia dzieci bawiły się w żołnierzy a żołnierze przeskakiwali płoty w pogoni za ideą.

Przykuta do brązowych sztachet u dębowej furtki, między jednym kupcem a drugim, zdradzana jak co dzień przez rodzone dzieci, cierpka, stara kobieta walczyła z problemem. Rana w parkanie broczyła od nocy a któż mógł pocieszyć śliwę shańbioną siedemnastokrotnie.

Godziny ciągły się długie i posępne jak listopad. W pewnej chwili z bocznej uliczki wyszli dwaj ludzie w granatowych mundurach z karabinami w rękach. Szli powoli, rzucając spłoszone spojrzenia ku oknom i parkanom. Jeden z nich przechodząc koło dębowej furtki przystanął i rzucił ochrypłe po ukraińsku do Lichaczowej:

Słuchaj stara, może w nocy ktoś będzie tędy biegł albo się chował, to go zatrzymasz albo zapamiętasz gdzie się schowa. Jak zobaczysz, dasz nam znać. Posterunek będzie całą noc na rogu Kleparowskiej. Pamiętaj, masz krzyczeć, drżeć się na całe gardło albo przysłać kogoś na posterunek — bo za to kula w łeb. Jest tu jeden taki — blady z czarną brodą, może akurat się tu zapląta. Będziesz pamiętać — róg Kleparowskiej. No.

Poszli powoli dalej, unosząc różowe blaski wieczoru na szczytach karabinowych luf. Na drugim rogu ulicy znów przystanęli przy jakichś dwóch robotnikach wracających po pracy z browaru. Urywane szmery ich głosów tłukły się jeszcze chwilę między parkanami i różowymi ścianami domów.

Sytuacja wyjaśniała się coraz wyraźniej dla pani Anastazji. Plan wyrastał sam, wystarczyło go wziąć w garść i przybliżyć ku oczom. Do rogu kleparowskiej było tylko parę minut drogi. Noc mogła nadejść.

Wieczorna inspekcja sadu była już spokojna i bezlitosna jak zwykle. Gąsienice i chwasty szły precz w ten sam kąt gdzie spadł przed chwilą problem, męczący od tylu godzin. Księżyc był równy i jasny jak decyzja. Zaciśnięte usta tylko dlatego nie chciały uśmiechu, żeby wesołość nie uprzedziła radości. Bo jakby tamten nie przyszedł...

Ale noc szła, coraz bardziej pluszowa. Jeszcze kilka razy przeszeptały spóźnione kroki, doganiając godzinę policyjną. W okolicznych bramach szczękając klucze zamknęły na ulicy ciszę i samotną pogodę. Pani Anastazja z kosturem w ręce wyszła furtką w noc, przepłynęła wzdłuż wiernego parkanu i przystanęła u jego węgła. Naprzeciwko, między sztachetami cień śliw gęstniał z minuty na minutę.

Mijało. Na prawo liść zsunął się z pomiędzy pogmatwanych gałęzi gruszy, niedaleko ziemi spotkał się z swym cieniem i przylgnął ku niemu na wilgotniejącą już od rosy trawę.

---

odcinku życia. Trzech pierwszych kierowników Biblioteki po prostu uciekło z pracy znalazłszy lepiej płatne stanowiska, a i dziś ludzie nie bardzo garną się do tego rodzaju pracy. I znowu napotykam się tu na tajemnicę, którą doprawdy trudno rozwikłać. Taka sama bowiem Biblioteka Miejska w Gdańsku, licząca sobie tę samą mniej więcej ilość książek zatrudnia u siebie 38 ludzi, podczas gdy szczecińska zatrudnia aż 4. Powtarzam jeszcze raz dla orientacji. W Gdańsku 38 ludzi, u nas w Szczecinie 4!

W trakcie rozmowy wchodzimy do sali, gdzie znajdują się stare druki. Jest to miejsce, gdzie najwięcej mieści się tajemnic. Zamknięte są one w starych drukach, pergaminach, foliałach, listach, mapach. Jakież bezcenne warsztaty pracy dla naszych uczonych, dla szkół, dla wszelkiego rodzaju imprez kulturalnych. I jak wzruszająca jest ich wymowa! Oto oglądam odręczny list Kościuszki, znaleziony w lutym br. przez obecnego tu p. Siadkowskiego... w śmieciach! W ostatniej chwili, przed wyniesieniem tych śmieci, znalazł je przypadkiem ów młody dyrektor i szczęśliwie zachował dla Biblioteki. List pisany jest po francusku na odwrotnej stronie druku, będącego odbitką litograficzną biletu skarbowego z r. 1794. Bilet wydany jest w Krakowie i posiada napis „Wolność, Całość i Niepodległość". Sam list pochodzi najprawdopodobniej z r. 1812 lub 1813 i adresowany jest do niejakiego Letnera. Jakim cudem znalazł się ów list Kościuszki w Szczecinie? Kim był ów Letner? — oto tajemnice, które trzeba dopiero rozwikłać.

Ze zdumieniem oglądam też 30 map — niemal cały atlas z r. 1623, i podziwiam dokładną stosunkowo, jak na owe czasy, znajomość geografii. Najwięcej jednak intrygują mnie druki i pisma dotyczące Pomorza Zachodniego. W nich bowiem najwięcej jest śladów polskości. One też, po odpowiednim uporządkowaniu, powinny być udostępnione przede wszystkim naszej młodzieży, a potem całemu społeczeństwu pomorskiemu. Przemówią one szybciej do naszej wyobraźni aniżeli najbardziej nawet naukowe tomy. Oto mam przed sobą drukowane zarządzenia jednego z książąt pomorskich, Barnima Starego, wydane w Szczecinie w r. 1570. To znowu zatrzymuje moją uwagę mapa Pomorza Zachodniego z r. 1618 z portretami wszystkich książąt pomorskich. Nieco dalej intrygują mnie grube rękopisy łacińskie, potężne foliały z 13 i 14 wieku. Wesołość budzi stary rysunek z XVI w., przedstawiający potwora morskiego, jakąś rybę — olbrzyma, wyrzuconą jak widać z ilustracji, falą na brzeg morski. Szesnastowieczni Szczecinianie podziwiają ją z niemniejszym wzruszeniem niż my — dary UNRRA, wyładowane w porcie szczecińskim. Trafiają się też osobliwości jak np. stare druki nut na dwuliniale, druki, jakich podobno nie ma nawet Biblioteka Jagiellońska! Albo książka, a raczej dwie książki, spięte ze sobą w ten sposób, że mogą ją czytać naraz dwie osoby. Wpada mi w ręce książka, pisana po francusku przez Polaka, wydana w Rotterdamie w r. 1710. Treścią jej są pamiętniki polskiego szlachcica z czasów Augusta II. I od razu nasuwa się uwaga. Czy nie należałoby jak najszybciej sprowadzić bibliografię Estreichera, pomnikowe wydawnictwo polskie informujące o wszystkich książkach polskich lub Polski dotyczących, jakie kiedykolwiek się pojawiły w historii. Może się bowiem okazać, że Szczecińska Biblioteka Miejska posiada książki, o których nie śniło się nawet Estreicherowi!

Czas nagli, robi się całkiem ciemno, z trudem więc odrywam się od tej tajemniczej sali, w której śpią wieki, zaklęte w stare księgi. Przechodzimy do innych sal. I tu pełno tych samych niespodzianek, z którymi spotykaliśmy się w sali starodruków. Oto na pierwszym piętrze napotykamy na sale, które mieszczą olbrzymie, w tysiące idące książki angielskie, francuskie, włoskie, hiszpańskie, greckie i łacińskie, nie mówiąc już o wartościowych książkach niemieckich. Znajduje się nawet 300 książek hebrajskich. Najwartościowszą jedną pozycją tej sali są tak zwane „slawica", książki, pisane wprawdzie po niemiecku, ale odnoszące się do spraw słowiańskich. Ileż tu można spotkać rzeczy, które mówią o słowiańskości naszych Ziem Odzyskanych, nawet gdyby były oświetlane pod kątem nauki niemieckiej. Po krótkiej wizycie w tej sali windujemy się na drugie piętro. Tu mieści się t. zw. „nauka stosowana" — czyli książki matematyczne i przyrodnicze. Te interesują mnie najwięcej, przechodzimy więc na trzecie piętro. To czytelnia, urządzona w sposób nowoczesny i przystosowana do badań naukowych. W chwili obecnej jeszcze jest nieczynna, nie mniej jednak, według zapewnienia dyrektora, ma być wkrótce otwarta. Jest już zupełnie ciemno, a ponieważ w niektórych salach brak światła, wędrujemy więc z latarkami kieszonkowymi jak górnicy po sztolniach. Schodzimy na dół, do wypożyczalni książek polskich. W tej chwili wypożyczalnia liczy 3520 polskich książek ze wszystkich dziedzin. Miesięczna opłata wynosi 10 zł. Czyli akurat tyle, ile kosztują dwa papierosy. Wypożyczających jest zresztą dużo, jak widać z opróżnionych półek. Miłą niespodziankę sprawia mi szafa, w której mieszczą się polskie książki, przetłumaczone na język niemiecki. A więc naturalnie Sienkiewicz niemal w całości, z „Krzyżakami" włącznie, dalej Mickiewicz, Słowacki, Kochanowski, Zapolska, Strug, Sieroszewski. Poza tym Dąbrowska, Korzeniowski, Czajkowski, nawet Bieniasz i inni. Dziwnie musiały się czuć te książki, doprawdy w chwili, gdy na świecie triumfował „ein Führer und ein Volk!"

Sięgam po coraz to nową książkę, zapominam o czasie i miejscu gdzie jestem. Magia książek działa. Tak dzieje się zresztą z każdym, kto raz chociażby zakosztował rozkoszy obcowania z wielką biblioteką. Wracając późnym wieczorem myślę o tym, jak wielkim warsztatem pracy naukowej i społecznej stać się może dla Szczecina ta placówka naukowa. Należy ją tylko więcej spopularyzować wśród społeczeństwa szczecińskiego.Faktem jest, że Warszawa więcej interesuje się Biblioteką szczecińską niż sam Szczecin. A przecież Biblioteka ta stać się może bezcenną pomocą dla nauczycielstwa i młodzieży szkolnej, dla publicystów, naukowców i literatów. Od zwiedzenia jej powinna się zaczynać każda większa impreza kulturalna, każda wycieczka propagandowa, każda akcja oświatowa. Dlatego apeluję do wszystkich ludzi, którym sprawy kultury leżą na sercu; zwiedzajcie tajemniczy gmach przy ulicy Dworcowej! Zwiedzajcie Bibliotekę Miejską w Szczecinie!

Nagle — skrzyp. Oczy pani Anastazji błysnęły. Przez szparę w parkanie naprzeciwko, jak wąż prześliznął się człowiek. Zasunął sztachety i — myk — już był pod śliwami. Tu wyprostował się, przez moment w księżycu błysnęła nad czarną brodą lśniąca klinga zębów. Ten człowiek się śmiał.

Nagle znikł w ciemności, jakby ktoś zdmuchnąć księżyc. Bystre oczy Lichaczowej obwąchiwały czujnie cień śliw. Był — Był tam: mały czarny tłumoczek w samym zanadrzu cienia. Pewnie już spał.

Pani Anastazja czekała dłuższą chwilę. Wreszcie powolutku, zaledwie odrywając stopy od ziemi zaczęła posuwać się ku furtce. Przeszła ją tak cicho, jakby ktoś o niej pomyślał. Przystanęła, chciwie nachylona ku przodowi. Od razu szło cichuteńkie pochrapywanie. Brodacz spał na jej krzywdzie.

Podeszła bliżej. Miała go teraz u nóg, mogła go trącić końcem kostura. Pomyśleć: mężczyzna, człowiek, którego się kule nie imają, który ją skrzywdził, połamał jej parkan, poranił jej drzewa, człowiek który teraz wybrał jej sad na miejsce swojego przeklętego spoczynku — śpi teraz u jej nóg, bezbronny jak właśnie człowiek we śnie.

A przed chwilą się śmiał.

I oto z dalekich, jakże dalekich dróg, nadeszły te łzy, które ścisnęły krtań. Węzłaste, starcze palce przylgnęły na mgnienie do podartej poły marynarki śpiącego, poraz pierwszy niewierne botanice. Ich dotknięcie było jak światło księżyca: nieważkie i jasne. Poraz pierwszy od 60 lat wszystkie drzewa w sadzie poczuły się samotne a grzędami kapusty targnęła zazdrość.

Pod tkliwymi spojrzeniami gwiazd Anastazja Lichacz stawała się matką, o straszliwych bólach poczęcia wspólnych wszystkim matkom człowieczym od początku świata.

A kiedy z pooranej twarzy wyplątał się wreszcie prawdziwy uśmiech — więcej nie trzeba już było niczego. Należało zbudzić śpiącego. W godzinę później przebrany, nakarmiony i ogolony (przydały się zamierzchłe graty pana Lichacza) zamieszkiwał swoim trzydziestoletnim snem starą budę u tyłu sadu. O świcie odszedł bez patosu i nadzwyczajności. Z tym wszystkim pozostała Lichaczowa, więcej i tak nie zostawił niczego.

Tak przyszedł jeszcze jeden wrześniowy dzień. O godzinie 9-ej dzwonek jak zwykle wywabił panią Anastazję do furtki. I tu już wszystko się wyjaśniło. Stała klientka pani Józefowa nie miała dzisiaj do powiedzenia niczego. Dziś właśnie dla niej noc minęła spokojnie. Tyle, że tym razem zażądała gruszek. Ale oto, gdy po zapłaceniu zabierała się do odejścia, zobaczyła ze zdziwieniem, że pani Anastazja kiwa na kogoś palcem. Z przeciwnej strony ulicy, mała, może ośmioletnia dziewczynka zbliżała się wahająco, płochliwie poruszając brewkami ku koszowi z owocami, stojącemu u nóg pani Anastazji. Gdy wreszcie podeszła o krok od nich, Lichaczowa zanurzyła rękę w koszu i wydobyła z tamtąd dwa ogromne, soczyste owoce. Szerokim ruchem przeniosła je przed okrągłymi ze zdumienia oczami pani Józefowej i wetknęła nieomylnie w same drżące niedowierzania dwóch dziecięcych piąstek. Potem wymierzywszy małej lekkiego klapsa, posłała ją dalej.

A pani coś może zostawiła? — usłyszała nagle pani Józefowa głos tamtej. — Spojrzała: oczy i usta Anastazji Lichacz śmiały się, ale w uśmiechu tym było coś co zmusiło ją do jaknajszybszego odwrotu. Bez słowa, zarzuciwszy płachtę z gruszkami na plecy, podyrdała do domu.

Słońce zaczynało już grzać na dobre, choć to był wrzesień.

Dlaczego Prudnik?

„Odra" z 6 X br. zamieszcza korespondencję L. S. Dutkiewicza z apelem do językoznawców, członków komisji dla ustalania nazw miejscowych, o opublikowanie motywów, które ją skłoniły do przyjęcia formy **Prudnik**, będącej „jaskrawym czechizmem". Zapytań, protestów, napaści na komisję jest tyle, że gdyby członkowie chcieli na wszystkie odpowiadać i prowadzić polemikę, która się zwykle wywiązuje, to chyba musieliby poświęcić na to cały swój czas. Nie trzeba zresztą myśleć, że komisja spotyka się tylko z protestami, przeciwnie dużo jest także uznania, tylko uznanie nie podnieca tak do publicznych wystąpień, jak jego brak. Korespondencja p. Dutkiewicza wyróżnia się jednak i zasługuje na odpowiedź, bo porusza sprawę samą w sobie interesującą w sposób kulturalny, nie odsądzający komisji, jak to zwykle od czci i wiary. Oczywiście, że komisja popełniła błędy, ale wynikają one z braku źródeł i pośpiechu. W niektórych wypadkach komisja powinnaby mieć lokalne opracowania lub archiwalia, a tymczasem dotarcie do nich jest niezwykle trudne. Biblioteka wrocławska, która by mogła wiele dopomóc, nie znajduje się jeszcze w zadowalającym stanie, o czym się podpisany niedawno przekonał, zabiegając w niej o różne wydawnictwa, m. in. dotyczące pow. prudnickiego. Życie zaś nie pozwala czekać, aż się uda dotrzeć do wszystkich możliwych źródeł. Komisji musi wystarczyć przeświadczenie, że w tej chwili rozporządza największym i jedynym w swoim rodzaju zbiorem materiałów dotyczących nazw śląskich. Luki, które w nim są, z pewnością są znikome. Zostanie on w całości wydrukowany i poddany publicznej kontroli. Podobna kartoteka nazw znajdowała się we Wrocławiu i byłaby może ułatwiła prace komisji, ale niestety, pewna instytucja pali nią w piecu, zanim dowiedział się o niej ktoś, co się poznał na jej wartości. W obecnym stanie jednak nie może już być użytecznym źródłem.

Po tych wstępnych informacjach pora przejść do rzeczy właściwej. Zapytuje p. Dutkiewicz, czy forma **Prudnik** sięga czasów, gdy miasto należało jeszcze do biskupstwa wrocławskiego, a nie ołomunieckiego, a więc do okresu bezwzględnie polskiego. Okolica Prudnika przypadła Ołomuńcowi w r. 1229 po słynnym procesie, a w każdym razie według opisu granicy w r. 1262 sięga biskupstwo ołomunieckie aż po Lipową na północny zachód od Prudnika (Historia Śląska PAU I s. 43). Sprzed r. 1229 nie mamy o Prudniku ani wzmianki i jako miasto na pewno on nie istniał. Został założony w ostatniej ćwierci XIII w., a wyraźnie jest wymieniony w dokumencie z r. 1302 pod wymowną nazwą **nova civitas**, czemu dokładnie odpowiada niemieckie **Neustadt**. Nic nie wiadomo, czy nie zastąpił jakiejś polskiej osady. Podobno tylko tuż pod miastem w dół rzeki miała się znajdować „polska wieś", co nie jest chyba nazwą miejscową lecz określeniem narodowości mieszkańców. Istnienie polskiej wsi nie jest dziwne, bo czy teren należał do jednego czy drugiego biskupstwa, nie było tam innych Czechów, jak urzędnicy duchowni i świeccy. Przecież do miasta przytyka od północy wieś Prężyna, która była przeważnie polska jeszcze w r. 1908, jak była nią w r. 1534, o czym pisze Niemiec Frohloff w książce „Die Besiedlung des Kreises Neustadt", 1938. O polskości tych okolic świadczą niedwuznacznie poświadczone z wieków średnich nazwy tamtejszych wsi.

Nazwa **Prudnik** pojawia się dopiero w 1331 i to jest odtąd jedyna forma używana przez Polaków i Czechów, bo Niemcy używali **Neustadt** (ludowe też **Wogendrossel**). Ks. Damrot przetransponował ją na polską fonetykę, tworząc niespotykany przedtem **Prądnik**. Jest to więc twór indywidualny, który ani nie przyjął się u Polaków piszących o Prudniku, ani tym bardziej z prudnickich Polaków. Sam przecież p. Dutkiewicz tego nie ukrywa, że ludność miejscowa nazywa swoje powiatowe miasto wyłącznie **Prudnikiem**. Dlaczego jednak nazwa jest czeska, choć ludność okoliczna polska? Otóż trzeba pamiętać, że stosunkowo niedługo po założeniu Prudnika szerzy się i przyjmuje na Śląsku język czeski jako język urzędowy i język literacki. Polszczyzna nie występowała nigdy w tej roli i nic chyba nie świadczy wymowniej o sile polskiego elementu na Śląsku, jak to właśnie, że uratował się tam polski język mimo wciśnięcia między dwa obce. Skoro więc po czesku pisano, to i niejedna nazwa zapisana została w czeskiej postaci, w tym właśnie **Prudnik** *).

Pierwotnie była to nazwa rzeki (podobnie Kraków leży nad **Prądnikiem**), a wtórnie dopiero przypadła miastu, co się często zdarza, por. np. **Wisłę** rzekę i wieś. Tamtejsi Polacy oczywiście rzekę nazywali po polsku, ale chyba nie brzmiało to **Prondnik** czy **Prandnik**, jak wymawia dziś inteligencja. Chłop podkrakowski nazywa rzekę **Promnikiem**, a śląski — stosownie do wymawiania **ą** przez nosowe **u**, albo przez **um, un**, co w Polsce jest dość pospolite — musiał swoje miasto nazwać **Prumnikiem**. Jest to tak podobne do urzędowego **Prudnika**, że się to urzędowe brzmienie u polskich chłopów bez trudu przyjęło. Teoretycznie można zresztą oczekiwać u nich wymowy **Prudnika** w formie **Prunnik** (zwykle **studnia** wymawia się **stunnia**), co jest jeszcze bliższe rodzimego a zapomnianego już **Prumnika**. Streszczając ten ustęp, trzeba tak powiedzieć: **Prudnik** jest wprawdzie czeskiego pochodzenia, ale tak był podobny do polskiego w śląskiej wymowie **Prumnika**, że się u polskiego chłopa przyjął na zawsze.

Komisja stanęła zatem przed trudną decyzją: czy nadać miastu nazwę **Prądnik**, jak się pewnie kiedyś nazywała rzeka, nad którą leży („pewnie" — bo żaden zapis tego domniemania nie poświadcza, a na najstarszej mapie Śląska w XVI w. i rzeka zwie się **Prudnik**), i zatrzeć widoczne w nazwie **Prudnika** echa wiekowej historii, przełamać tradycję miejscowych Polaków gospodarzy tej ziemi, albo uszanować tę tradycję i nie przerazić się historii zostawiając **Prudnik**. Komisja zdawała sobie dobrze sprawę z niepopularności drugiego wyboru, wiedziała, że nie stanie w jej obronie ludność miejscowa w rewanżu za wzięcie jej strony, ponieważ ona nie pisuje do Odry, Dziennika Zachodniego czy Pioniera. Wiedziała, że będzie przedmiotem ataków ludności napływowej, a raczej pewnego jej odłamu, że będzie obciążona zarzutem dostarczania Czechom argumentu w sporze granicznym. Pomimo to komisja wybrała tę niepopularną drogę. Przede wszystkim komisja świadoma jest błahości ostatniego zarzutu, wszak Czesi także uczą się historii i dobrze wiedzą, jak się Prudnik u Polaków do ostatka nazywał. Prudnik będzie polski niezależnie od tego, czy będziemy go pisać przez **u** czy przez **ą**, przecież nie te argumenty decydują. Jeżeli trzeba będzie podać dowody polskości tych okolic, językoznawcy dadzą lepsze argumenty; zadbali o nie dawno, kiedy się nie śniło Polakom nad Wisłą i Sanem, że Prudnik będzie należał do państwa polskiego. Nie kto inny, ale językoznawcy w osobach Lucjana Malinowskiego i Kazimierza Nitscha dotarli do prudnickich Polaków, zbadali ich mowę i opublikowali teksty u nich zapisane. Dla językoznawców chłop spod Prudnika to nie jakiś podejrzany Polak, który się dopiero musi weryfikować, ale twierdza polskości, która wiekom stawiła czoło.

Podobnie też komisja nie chciała zatajać w ten naiwny sposób, że ziemia śląska leżała w zasięgu kulturalnych czeskich wpływów. My o tym wiemy i Czesi o tym wiedzą, czy się nam to podoba, czy nie. W rozwoju kulturalnym byli Czesi naszymi braćmi starszymi, ślad ich oddziaływań jest niezwykle silny i nie do usunięcia. Ale jak z jednej strony nie sądzimy, aby z tego tytułu mieli prawo do naszych ziem, tak też na odwrót, nie uważamy za potrzebne, aby te ślady na gwałt zacierać. Możemy zacierać ślady niemieckich najeźdźców i gwałcicieli, ale komisja nie chciała stosować tej samej miarki do narodu czeskiego.

Pisze p. Dutkiewicz, że ogłoszenie w Monitorze brzmienia **Prudnik** było złym efektem propagandowym w terenie. Oczywiście, łatwo uwierzyć, że znaleźli się malkotenci, którzy rozdarli szaty: „tak się wydaje polską ziemię Czechom, więc mamy się stąd wynosić, ustąpić Czechom!" itd. Były pewnie interpelacje w radzie miejskiej, wojewódzkiej, — bo jakże nie odegrać roli Rejtana! Daleko lepiej było zużyć energię na odbudowę powiatu i braterskie ułożenie stosunków z miejscową ludnością wiejską. Wtedy by nasi dawni studenci z Prudnickiego nie przychodzili do nas ze skargą na krzywdzących ich braci zza Wisły.

Wynika chyba jasno, że komisja naukowa nie zaniechała ani zebrania materiału historycznego, ani rozważenia pro i contra. Nie ma ona pretensji do tego, aby wszystkich przekonać, a cóż dopiero znaleźć zrozumienie dla ogromu włożonej pracy, ale może mieć nadzieję, że jeżeli komisja administracyjna w Ministerstwie Administracji uznała argumenty naukowców[1]), to społeczeństwo zdobędzie się również na trochę karności. Jeżeli będziemy zawsze ze wszystkimi decyzjami czekać aż wszyscy obywatele zechcą się dać przekonać i argumenty zrozumieć, to nigdzie nie zajdziemy. Może obejdziemy się przecież bez **liberum veto**, nawet w kwestii nazw miejscowych.

Przy sposobności nadmienię, że z przedstawionych tu dowodów została ustalona nazwa **Głubczyce**. Jest to bowiem jedyna forma dotąd używana przez Polaków.

Stanisław Urbańczyk

Czł. Komitetu Nazw Geograficznych

1) Komitet Nazw Geograficznych Polskiej Akademii Umiejętności, składający się z językoznawców, historyka i geografa, sam nie decyduje o nazwach, przedkłada jedynie wnioski przez swoich reprezentantów Komisji Nazw Miejscowych wspólnej dla ministerstw Administracji Publicznej i Ziem Odzyskanych, która jest organem decydującym, a ma wśród siebie przedstawicieli administracji i lokalnych towarzystw naukowych (także Instytutu Śląskiego).

Postscriptum. W tym samym numerze Odry, co list p. Dutkiewicza, p. (ki) w przeglądzie prasowym powiada, że czasopismo „Śląsk" w polemice przeciw ustalonym nazwom ma „w niektórych wypadkach rację i posługuje się przekonywującymi argumentami". Pozwolę sobie mieć o tym zupełnie inne zdanie.

Kronika kulturalna Pomorza Zachodniego

TEATR

Na odcinku teatralnym w Szczecinie zaszły ostatnio ważne zmiany, które nie pozostaną bez wpływu na życie kulturalne. „Bombą atomową" była niczym nieuzasadniona i nieoczekiwana zmiana stanowiska dyrektora Teatru Polskiego. Odszedł p. Skąpski, znany aktor i reżyser, były dyrektor Teatru Polskiego w Grodnie, a jego miejsce zajął były kapelmistrz jednego z teatrów lwowskich p. Czosnowski Syl. Zanim nastąpiło inauguracyjne otwarcie nowego teatru, przemianowanego teraz na „Teatr Komedii Muzycznej", dużo było szumu, i huku na ten temat w życiu kulturalnym społeczeństwa szczecińskiego. Sprawy ściśle teatralne utonęły miejsca plotkom, oskarżeniom, a nawet insynuacjom. Stworzyło to nie bardzo zdrową atmosferę nie sprzyjającą niewątpliwie nowemu teatrowi Sprawę pogorszyło pierwsze (nie inauguracyjne jednak) przedstawienie dane przez Teatr Komedii Muzycznej. P. Czosnowski bowiem wystąpił dnia 1 września ze spektaklem o szczególnym charakterze, „pióra" swoich najbliższych współpracowników. Przedstawienie nosiło tytuł „Na falach Odry". Z Odrą jednak miało tyle wspólnego, że można było po nim dostać odry... kulturalnej. Było to bowiem coś pośredniego pomiędzy kabaretem, cyrkiem, rewią, kiepską audytją radiową, a poczciwym widowiskiem harcerskim. Przedstawieniem „Na falach Odry" nie zapisał się p. Czosnowski złotymi zgłoskami w pamięci ludzi, kochających teatr.

Na szczęście jednak na inaugurację wystawił Teatr Komedii Muzycznej sztukę K. H. Rostworowskiego pt. „Przeprowadzka". Przedstawieniem tym zrehabilitował się p. Czosnowski w opinii kół kulturalnych Szczecina. Przedstawienie bowiem było całkowicie udane. Z grających wyróżnił się i jako reżyser i jako aktor przede wszystkim p. Śliwiński w roli Felka, nieco mniej p. Jabłoński jako Franek Szywała oraz p. Rasiński jako Ciepiel. „Przeprowadzka" szła jednak krótko, ustępując miejsca gościnnym występom Parnela oraz Ćwiklińskiej w „Skizie". Z obowiązku dziennikarskiego należy wspomnieć jeszcze, mówiąc o teatrze, o tzw. „Małym Teatrze" w Szczecinie. Jest to teatr rzeczywiście mały, zarówno co do sceny, jak i do poziomu. Niefachowa dyrekcja tego na pół zawodowego teatru nie bardzo rozumie, gdzie się zaczyna sztuka, a gdzie najzwyczajniejsza szmira. Za wystawioną ostatnio kiepską farsę „20 dni kozy" Hennequina powinna wspomniana dyrekcja dostać co najmniej 20 dni prawdziwej kozy.

Na tle niewybrednych dróg zdobywania sobie publiczności tym sympatyczniejsza jest próba stworzenia teatru o wyłącznie klasycznym repertuarze. Ma to być, a właściwie już jest „Szczeciński Teatr Oświatowy", czyli STO, pod kierunkiem p. Bogusza. Jak sobie jednak STO wyobraża wystawienie zapowiadanego „Snu nocy letniej" czy „Antygony" amatorskimi siłami, pracującymi bezinteresownie, to już jest tajemnicą ambitnego dyrektora. STO ma być pod szczególną opieką władz szkolnych jako teatr stawiający sobie za zadanie popularyzację klasycznego repertuaru. Najważniejszym na razie atutem tego młodego teatru będą bardzo niskie ceny w przeciwieństwie do fantastycznych wprost cen teatru „Komedii Muzycznej". Młodemu teatrowi STO życzymy STO lat pomyślności. (ts)

MUZYKA

Odcinek życia muzycznego przedstawiał się w ostatnich dwu miesiącach stosunkowo bardzo ubogo. W Szczecinie wystąpił z koncertem Stan. Bielecki, w Białogardzie zespół artystów Karwowska, Popławski i Bogacka, w Słupsku Skwierczyńska, Sobańska i Perkowski. Koncerty te cieszyły się wielkim powodzeniem. Poza tym pełno było na terenie Szczecina i innych miast Pomorza Zachodniego różnych wieczorków wokalno-deklamacyjnych o wątpliwej wartości. Należy podkreślić, że na terenie województwa szczecińskiego istnieją trzy szkoły muzyczne, z tych dwie w Szczecinie, jedna w Słupsku. Szkoła Muzyczna im. K. Symanowskiego w Szczecinie posiada 184 uczniów. (ts)

PLASTYKA

Plastycy szczecińscy przeprowadzają polichromię w reprezentacyjnych gmachach Urzędu Wojewódzkiego oraz przygotowują wystawę w Muzeum Szczecińskim.

LITERATURA

W Szczecinie wznawia w najkrótszym czasie swoją działalność Klub Literacko-Artystyczny inaugurując szereg odczytów dyskusyjnych. Na najbliższym wieczorze wygłosi odczyt dyr. Biblioteki Miejskiej w Szczecinie na temat tejże Biblioteki, liczącej 300.000 tomów. W części artystycznej przewidziana jest część koncertowa.

Przy sposobności warto nadmienić, że w Wojewódzkim Urzędzie Kultury i Sztuki wciąż jeszcze wakują stanowiska referentów literackich, inspektora, a nawet naczelnika Wydziału. Poza tym nieobsadzone są stanowiska referentów Kultury i Sztuki w Drawsku, Kołobrzegu, Pyrzycach i Miastku. Literaci śląsko-krakowscy przybywajcie — wolne etaty obsadzajcie! Z głodu nie umrzecie, a pisać będziecie mieli aż nadto o czym. (ts)

Sprawy teatru

„Pasażer bez bagażu“ na Małej Scenie
w Katowicach

Mała Scena: „Pasażer bez bagażu“, sztuka w trzech aktach (4 odsłonach) Jana Annouilha w tłum. Bohdana Korzeniewskiego. Reżyseria Janusza Warneckiego. Dekoracje prof. Andrzeja Pronaszki.

Jan Annouilh, liczący dziś 36 lat, należy do młodej generacji pisarzy francuskich. „Pasażer bez bagażu“, pierwsza, lub jedna z pierwszych jego sztuk i ostatnio napisana „Antygona“, charakteryzują typ jego twórczości dramatycznej i zainteresowań. Omawiana sztuka oscyluje w kręgu trzech warstw kompozycyjnych, na których opiera się przekonywująca motywacja i dość konwencjonalna charakterystyka osób: etycznej, psychologicznej i obyczajowej.

Odnajduję w tej inteligentnej sztuce ciekawe połączenie (wywodzące się nieświadomie, kto wie czy nie z ducha dramatu ibsenowskiego), połączenie szlachetnego idealizmu z naturalistyczną codziennością, ów sąd nad sobą samym, niepozbawiony drwin i goryczy wobec jasno określonego ideału życiowego, absolutnej prawdy, którą osiąga się poprzez oczyszczające cierpienie. Czy osiąga? Wydaje mi się, że tak, ponieważ rozwiązanie (operujące zresztą klasycznym momentem zaskoczenia), wybór jaki czyni Gaston, człowiek, który stracił podczas wojny pamięć, aby później pożegnać się na zawsze ze swą niemoralną przeszłością, przypominaną mu i wręcz sugerowaną przez odnalezioną po 18-tu latach rodzinę, nie dźwięczy ani jedną nutą pesymizmu czy zwątpienia — jest na wskroś optymistyczne. Gaston jest przecież człowiekiem z krwi i kości, świadczy o tym choćby epizod szpitalny z udającą praczkę Walentyną, człowiekiem rozgrzeszonym pokutą cierpienia ze złej przeszłości, jeśli nie wobec siebie to w każdym razie wobec prawdy jaką wyznaje, a tę wyczuwamy w każdym jego słowie i akceptujemy ją w całości.

Skala motywów, otwarta założeniami etycznymi, rozszerza się (nie zwęża, jak to się przeważnie dzieje) i zbliża zarazem do odbiorcy w rozwoju psychologicznym, obrazującym łamanie się Gastona z poznawanym a nienawistnym mu „bagażem“ młodości z jednej strony i splotem rodzinnych konfliktów z drugiej. Tu dopiero, w tej walce o absolutną prawdę, a tym samym o zwykły, ludzki spokój i szczęście, ważą się pojęcia dobra i zła. Drugi akt, najmocniejszy, jest nie tylko obrazem walki psychicznej „człowieka bez bagażu“, lecz także bezkompromisowym oskarżeniem mieszczańskiego środowiska. Wybór jaki czyni Gaston w pokierowaniu swoim dalszym losem, polegający na personalnej tylko zmianie środowiska, wymazuje wszystkie akcenty społeczne spośród czynników, decydujących o życiu — autor przechodzi mimo nich, ograniczając się wyłącznie do nakreślenia tła obyczajowego. Stanowisko takie pozwoliło mu zachować artystyczną pełnię obrazu, bez rozbijania go na elementy uboczne.

Chociaż w całości sztuka nie czyni wrażenia kompozycyjnie jednolitej (przeplatanie momentów dramatycznych z farsowymi, zwłaszcza w scenie podglądania przez dziurkę od klucza, zakłóca ciągłość nastrojową i oprócz rysunku strony obyczajowej dość łatwymi środkami, nie przyczynia się do pogłębienia problematyki) jednak umiejętne skoncentrowanie wszystkich elementów na jednym zagadnieniu, naświetlonym zresztą z rozmaitych punktów widzenia, wywiera intensywną siłą duże wrażenie estetyczne i emocjonalne.

Właściwy dramat rozgrywa się na przestrzeni kilkunastu godzin, ale rodzi się w czasie poprzedzającym sytuację pokazaną na scenie. Przeszłość tę podał autor w tak naturalnym, powiedziałbym mistrzowskim dialogu, niejako na marginesie przeżyć, w postaci krótkich wzmianek wynikających z konfrontacji z rekwizytami dzieciństwa i młodości, że z biegiem akcji widz jest zafascynowany i niemal przejęty strachem, potęgującym się w miarę narastania konfliktów. Tym bardziej wyodrębnia się całkowicie niespodziany sens zakończenia — lekki, pogodny; zgódźmy się: niepoważny, a jednak logiczny, bo reprezentujący pogodny uśmiech Francji — wytwór dojrzałego sceptycyzmu i spokojnego optymizmu.

Reżyseria **Janusza Warneckiego**, chociaż staranna w rozpracowaniu akcji, wydała mi się nie wykończona. Nie mogę podjąć się pełnego jej opisu, a tym mniej oceny po przedstawieniu premierowym, na którym zespół nie wykazał jeszcze potrzebnego zgrania i nie pokonał całkowicie zależności od suflera. Czy nie można było poświęcić jeszcze paru dni próbom? Natomiast nie często mamy możność podziwiania takiej klasy aktorskiej, jaką pokazał Warnecki w trudnej, bo płynącej wewnętrznym nurtem psychologicznym, roli „pasażera bez bagażu“. Decydujące, głębokie przeżycie, narastające w miarę rozwoju wypadków, uwidocznił doskonale przestudiowanym maskowaniem z coraz to większym trudem odruchów buntu przeciw temu, co mu się wszyscy starają narzucić. Scena, w której Gaston nie wytrzymuje nerwowo i „wyładowuje się“ na szczotce do włosów, należy w całym kompleksie poprzedzających ją, jakże oszczędnie odmierzonych gestów i mimiki, do klasycznych w tym typie.

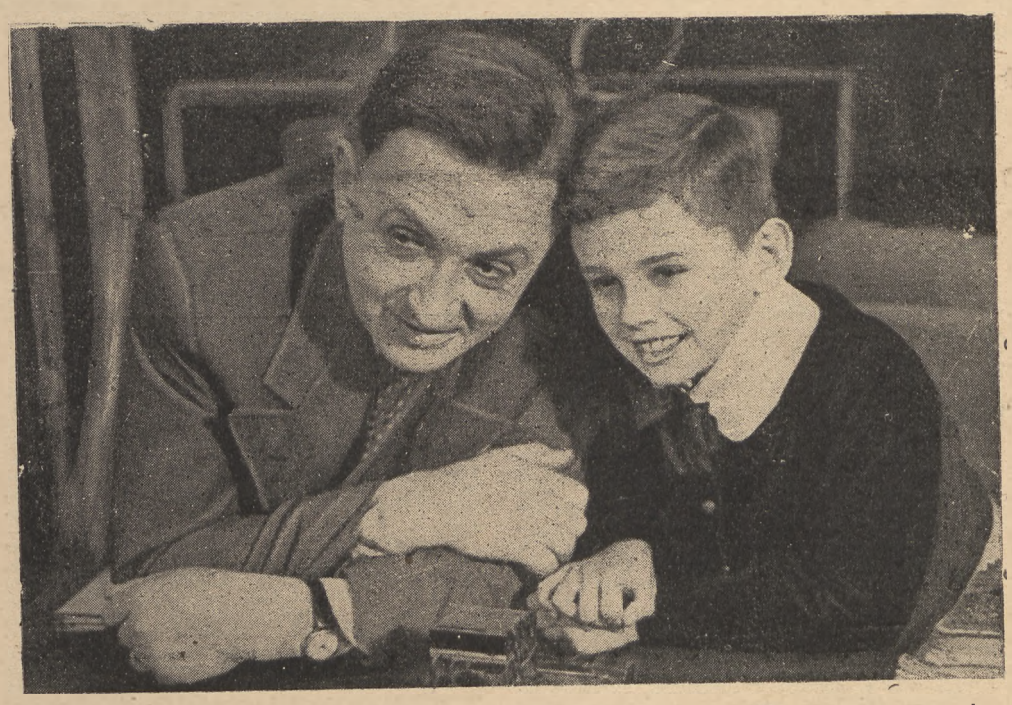

Janusz Warnecki (Gaston) i Jurek Połoński (chłopczyk), najlepsi wykonawcy ról na katowickiej premierze „Pasażera bez bagażu“.

W sposób mniej lub więcej konwencjonalny potraktowali swoje role **Hanna Brochocka, Stefania Michnowska, Magdalena Radłowska, Maria Kisielewska, Roman Hierowski, Marian Jastrzębski, Kazimierz Brandt, Jerzy Fitio, Stanisław Gawlik** i Uczeń Studia. Jedynie **Helena Chaniecka** potrafiła wzbogacić pocztówkową postać księżnej Dupont — Dufort cechami prawdopodobieństwa. Mały **Jurek Połoński** to naprawdę „cudowne dziecko“ teatru, zadziwiające naturalnością i — jeśli można zastosować to określenie do dziecka — dojrzałością aktorską. Komplet służby uzasadnił twierdzenie, że charakteryzacja nie polega na doczepieniu wąsów.

Świetne rozwiązanie dekoracyjne **prof. Pronaszki,** pozwoliło na małej scenie poruszać się swobodnie trzynastu osobom, stanowiącym obsadę tej naprawdę godnej obejrzenia sztuki.

Bogdan Butryńczuk.

Teatr polski i czeski na wymiennym starcie

„Teatr polski i czeski winny wymienić między sobą uścisk dłoni“ — pisałem w 33 numerze „Odry“. Było to z końcem września. Od tego czasu upłynęło dwa tygodnie, a tu już mamy do zanotowania fakt, że za zgodą obu państw dochodzi do porozumienia między dyrekcją teatru polskiego i czeskiego obu Cieszynów. Dnia 13 października po raz pierwszy w dziejach mury teatru polskiego w Cieszynie Wschodnim oglądają czeskich artystów w operetce O. Nedbala, „Polska Krev“. Teatr ośrodka Bielsko-Cieszyn jedzie z rewizytą na Zaolzie do Cieszyna (czeskiego) i tu w dniu 17 i 18 października daje się poznać zaolziańskiej publiczności w pięknie wystawionej tragedii Juliusza Słowackiego „Balladynie“. Pierwsze kroki uczyniono. Teatr polski i czeski wystartował do biegu na najtrudniejszym odcinku, na terenie, gdzie atmosfera wypełniona jest treścią niezałatwionych sporów granicznych: Cieszyńskie. Ziemia, gdzie zakopano klucz do zgody polsko-czeskiej. Kraj, gdzie stykają się wpływy dwu narodów, dwu kultur, choć z jednego pnia wyrosłych.

W „Nowej Svobodzie“ pisał przed kilku miesiącami, dziś naczelny redaktor praskiego „Rudeho Prava“, Wilhelm Novy artykuł, w którym stwierdził, że „lud czeski głęboko żałuje, że dotąd nie udało się ułożyć stosunków polsko-czeskich“. „Gdybyż choć w tych elementarnych, praktycznych i codziennych sprawach doszło do porozumienia, gdy już nie może dojść do porozumienia polsko-czeskiego na wszystkich odcinkach. Gdyby można sprawy, które dzielą te narody odłożyć na czas późniejszy... — snuje swą myśl red. Novy.

Myśl Noveho przyobleka się w realne kształty. Teatr polski i czeski rozpoczął tę pracę: praktyczną działalność na polu kulturalnym. Pewnie, że w trudnych i niewdzięcznych warunkach. W niedojrzałej jeszcze atmosferze przyjaźni. Przy stłumionym akompaniamencie zgrzytów i niedomówień. W momencie, kiedy nie zostały jeszcze ukończone rozmowy polsko-czeskie na tematy zasadnicze. Teatr polski i czeski obsadził niewątpliwie jedną ścieżkę wiodącą ku górze. Ale choć temu pochodowi towarzyszy zgiełk propagandowych fanfar, nie może on jednak zagłuszyć myśli-troski, aby kierunek, wytyczony przez oba zespoły nie zeszedł na manowce. Dlatego też wydaje mi się rzeczą wielce wskazaną rzucić okiem i poza kulisy spraw, rozpromienionych treścią prasowych sprawozdań. Rozeznać zło, oświetlić krytycznie cień nierozgarniętych zagęszczeń. Bo wszak nie czas jeszcze mówić o owocach, kiedy ziarno nie wzeszło, kiedy mróz jeszcze w sercach gości. Analiza musi być szczegółowa i szczera. Boć łatwym dziennikarskim sloganem o szczerości, serdeczności i powadze nie zamknie się prawdzie oczu. Musi ona nas ukłuć i zaboleć, musimy ją odczuć i zrozumieć. Łatwizna tanich zachwytów, zdawkowych komplementów nie zastąpi twardzizny realnej wyceny.

Radzi oglądaliśmy publikę mieszaną w Cieszynie Polskim na czeskim przedstawieniu „Polskiej Krwi“. Lecz w przyszłości radzi widzielibyśmy, aby publika ta rekrutowała się raczej ze sfer, wywodzących się z pośród obywateli polskiej części Śląska Cieszyńskiego. Rzecz sama w sobie zrozumiała i nie wymaga komentarzy.

Aby sztuka stała się pomostem kulturalnej współpracy w najszerszym zakresie, musimy z niej wyrwać jad zbyt jaskrawego wykorzystywania jej dla celów politycznych. „Nove Slovo“ źle uczyniło pisząc, że na czeskim przedstawieniu w Cieszynie (polskim) było dużo obywateli z Polskiego Cieszyna i okolic... „czeskiej orientacji narodowej“. Takie stawianie sprawy niezgodne zresztą z prawdą, szkodzi wysiłkom obu teatrów i prowadzić może do niepotrzebnych zadrażnień.

Jeśli chodzi o sam repertuar, to chcielibyśmy poznawać czeską sztukę, opartą o czeską tradycję, oddającą czeskie tło obyczajowe. W sztuce Nedbala widzieliśmy Polskę szlachecką, Polskę w nienajlepszym wydaniu, choć w aksamitnej oprawie dekoratywnie i z pietyzmem wystawionej operetki. Dla wzajemnego poznania się potrzebne są wymienne motywy obu krajów, w sztuce nieskażonej szkodliwą tendencją, w sztuce, oddającej duszę narodu. Takie założenia miała „Balladyna“.

Po tamtej stronie Olzy teatr polski ośrodka Bielsko-Cieszyn, występujący pod dyrekcją Kwaskowskiego spotkał się z bardzo miłym przyjęciem. Cieszyć nas musi fakt, że czeskie sfery oficjalne zjawiły się na polskim przedstawieniu w zespole tak licznym, że przedstawienie to musiano na wyraźne żądanie publiczności powtarzać. Lecz wiele osób z pośród tej publiczności musiało i drugiego dnia odejść od kasy z kwitkiem. Po prostu zabrakło biletów. Brakło ich dla górnika polskiego, i dla kolejarza, brakło i dla uczącej się młodzieży. I choć zaimponować może fakt, że na drugim przedstawieniu dał się zauważyć nadspodziewanie duży udział wojska, nasuwa się jednak uparcie pytanie, czy nie należałoby w przyszłości już z góry ułożyć rozdzielnik biletów? Choć z drugiej strony uwzględnić musimy i ten fakt, że są to dopiero pierwsze kroki, stawiane na bądź co bądź twardym gruncie. W przyszłości nie powinien nikt stać na zawadzie w tym, aby teatr czy to będzie polski czy czeski, w pełni wykonał swą misję, leżącą w interesie obu narodów.

„Głos Ludu“, jedyne pismo polskie na Zaolziu wychodzące, wiąże wystąpienie teatru z Polski z nadzieją, że słowo kultura w wdzięcznej oprawie współpracy zagarnie też polskie szkoły i ochronki. Że słowo polskie, które wykwitło na scenie teatru, jako wyraz zbliżenia dwu narodów, dotrze i do ochronek polskich, które w minionym okresie nierozwagi zostały zamknięte: bez reszty i bez tłumaczeń.

Teatr polski na Zaolziu wniósł w serca ludu polskiego element wiary. Lud ten pragnie zgody polsko-czeskiej równie szczerze jak i lud czeski. Nie rozumie on tylko tej zgody bez ładu w sercach. Piękne słowa inspektora szkolnego Koneczne-go, którymi witał zespół polskich artystów w Cieszynie Czeskim tłumaczy sobie po swojemu: „szczere i słowiańskie braterstwo“ — to „swoboda demokratycznego rozwoju Słowian u Słowian“. Jeśli Cieszyn ma być miastem-symbolem tego braterstwa, to wszak nie da się ono pomyśleć bez ludu, który zamieszkuje ziemię cieszyńską.

Ścieżka, na którą wkroczył teatr polski i czeski jest stroma. Jej pokonanie wymaga wiele równowagi ducha i siły woli. Nie tylko ze strony swych zespołów ale i tych wszystkich, którzy stoją koło teatru, którzy wystąpieniom artystycznym nadają właściwy ton i barwę. Od subtelności, prawości i słowiańskiej solidarności w reżyserskiej pracy zależy więcej niż tylko powodzenie zespołu, występującego na scenie. Dobroczynne jej działanie poza sceną przyczyniać się będzie do wytwarzania atmosfery, podatnej pod trwałe przymierze serca i rozumu na bratniej niwie współpracy.

mOSt.

Sprostowanie

W felietonie p. Michaliny Pazdro, zamieszczonym w numerze 37 (48) „Odry“, nastąpiło ze względów redakcyjnych kilka skrótów, za co autorkę przepraszamy.

Komunikat

Prosimy o wpłacenie prenumeraty za ostatni kwartał bieżącego roku.

Glossy i notatki

Mgr. Głuś i tragedia grecka

Inaugurację sezonu teatralnego w Katowicach „Antygoną" wydział literacki rozgłośni katowickiej uczcił również na swój sposób w miarę swoich możliwości. Zaprosił do mikrofonu niejakiego mgra Głusia a ów, nie posiadając się z radości z powodu okazji do „wypowiedzenia się", palnął odczyt o tragedii greckiej, Sofoklesie i „Antygonie". Nie można powiedzieć, by nie palnął przy tej okazji paru głupstw, ale to nie ma znaczenia. Bo naprzód dziwił się razem z „kochanymi słuchaczami", dlaczego i poco ta „zaśniedziała" (dodał tu „że tak powiem") tragedia wchodzi na scenę katowickiego teatru, skoro publiczność zmęczona wojną pragnie komedji i rozrywki. Ale zaraz potem uspokoił wszystkich, bo „Antygona" to przecież tragedia grecka, a tragedia grecka to najpiękniejsza tragedia świata i to matka wszystkich tragedji, bo wprowadziła pierwsza jedność miejsca, czasu i akcji, a stosowane przez aktorów maski nadawały jej charakter poważny, przy czym otwór w tych maskach znajdował się vis a vis ust. Jako jedną z głównych cech tragedji greckiej wymienił następnie występujący zawsze „chór starców". Na koniec ocenił ze swadą pierwiastki boskie i ludzkie dzieła Sofoklesa i stwierdził dla kompletu: „Uczucie miłości występuje tu jako wstydliwe dziecko okrywające się rumieńcem".

Po wysłuchaniu tego odczytu poszedłem wieczorem przed teatr i sprzedałem mój premierowy bilet jakiemuś roztargnionemu jegomościowi na pasek. Nie miałem odwagi wejść. Bałem się tej tragedii a jeszcze więcej mgra Głusia, którego mogłem zobaczyć w fotelu, a wtedy już nie ręczyłbym za siebie. **(ki)**

Kto zna tego literata?

Wychodząca w Paryżu „Gazeta Polska" (Niepodległość) donosi w nrze 222: „W niedzielę dnia 22 września **literaci polscy,** przybyli z Kraju, przemawiać będą **na temat aktualnych zagadnień Polski.** W Brouay-Thiers **Leon Przemski.**"

Kto zna takiego literata w kraju, który oficjalnie reprezentuje? I kto wysłał go w tym charakterze do Francji? **(ki)**

Co należy czytać w świetlicach górniczych

Centralny Ośrodek Kulturalny Centr. Zw. Zaw. Górników w Sosnowcu wystosował dnia 24. 9. 1946 do wszystkich kierowników świetlic list, polecający zaabonowanie dla świetlic gazet i periodyków **„ściśle według podanego wykazu'.** Wykaz zawiera 7 dzienników, 14 miesięczników i tygodników, oraz 7 t. zw. pism oświatowych. Dziwny to wykaz, górnicy powinni czytać „Szpilki" i „Odrodzenie" a nawet poważne „Prawo i Państwo", a nie mogą np. czytać „Odry", której w wykazie niema. Czyżby zagadnienia Ziem Odzyskanych i sprawa kulturalnej odbudowy tych ziem były mniej ważne od satyry „Szpilek"? Niema tu także „Twórczości", zaś w dziale pism t. zw. oświatowych uderza brak „Problemów", a przede wszystkim „Wiedzy i życia", choć są „Rzeczy ciekawe".

List podpisał ob. Michał Specjał. Owa formułka „ściśle według podanego wykazu" pozwala przypuszczać, że pism nieuwzględnionych w wykazie w świetlicach trzymać nie wolno wzgl. nie należy. Dziwny to obyczaj. **Brz.**

Przegląd prasy

Od kilku miesięcy mówi się u nas o prasie dla Ziem Odzyskanych. Nie chodzi o miasta, bo te zasadniczo korzystają z prasy ogólnopolskiej a mając nawet jakieś potrzeby specjalne, umieją je zaspokoić. Przede wszystkim chodzi o wieś a w pewnej mierze także o leżące w okręgach przemysłowych liczniejsze środowiska robotnicze, skupiające zwłaszcza na Śląsku Opolskim ludność miejscową. Dyskusje i projekty dotyczące prasy dla terenów odzyskanych mają swoje źródło w kilku ważnych stwierdzeniach. Przede wszystkim Polacy w Niemczech przyzwyczajeni byli do swojej prasy. Była ona wcale różnorodna i liczna a czasopismo polskie było ważnym czynnikiem w podtrzymywaniu i propagowaniu polskości. Jest zatem rzeczą naturalną i z pewnych względów konieczną nawiązanie obecnie po wyzwoleniu tych ziem do dawnych tradycji prasy polskiej istniejącej pod rządami niemieckimi. Błędem propagandowym i to poważnym było, że nie pomyślano o tym od razu i przez wznowienie niezwłoczne periodyków wychodzących na tych terenach przed wojną nie wskazano wyraźnie na ciągłość życia polskiego tutaj, przytłumionego tylko wypadkami wojennymi i odradzającego się teraz częściowo w dawnych formach wypełnianych nową treścią. Takie błędy umiemy popełniać. Widzieliśmy je bowiem także w swoim czasie na Śląsku za Olzą. Drugim argumentem, który przemawia za koniecznością specjalnej prasy dla Ziem Odzyskanych a zwłaszcza tych terenów, na których zachowali się w zwartej masie Polacy, jest argument językowy. Ludność tych ziem mówi gwarą, w okręgach odsuniętych od wielkich środowisk przemysłowych nawet piękną w swej polszczyźnie gwarą, lecz ma duże trudności w rozumieniu potocznej polszczyzny literackiej. Stąd potrzebna jest dla niej prasa pisana językiem i stylem jak najbardziej prostym i naturalnym, początkowo nie wychodząca poza granice zasobów leksykalnych tu spotykanych i stopniowo zasoby te pomnażająca. Trzeci argument to znów pewna tradycja. Prasa polska na terenach odebranych Niemcom była prasą ludową i ten charakter musiałaby na razie zachować, udoskonalając się i podnosząc pod względem formy i treści w miarę postępu repolonizacji i nasycania terenu elementami kultury polskiej, w miarę rozwoju oświaty polskiej. No i wreszcie argument ostatni: ziemie te mają przecież (mówmy raczej mieć powinny) swój specjalny program działania propagandowego i kulturalnego, którego tu bliżej charakteryzować nie sposób i który w zasadniczych zarysach jest już na ogół jasny.

Po przytoczeniu tych wszystkich argumentów może podnieść się krzyk licznych oponentów: w ten sposób pogłębiać będziemy różnice, kultywować separatyzm, wyodrębniać a nie zespalać!

Gruba pomyłka. Prasa jest jednym z niezwykle ważnych czynników zespalających i bez prasy to zespalanie będzie mocno i długo kuleć. Prasa specjalna dla Ziem Odzyskanych ma właśnie w zakresie zespalania i jednoczenia tych ziem z krajem tyle zadań szczególnych, że nie może się ich podjąć prasa ogólnopolska, nastawiona na zaspokajanie potrzeb przeciętnego czytelnika. Czy zadania te spełni — to już kwestia redakcji.

Po to właśnie potrzebny był ten wstęp, żeby tym ostatnim zagadnieniem zająć się na żywym przykładzie i przyjrzeć się krytycznie próbom spełnienia postulatów co do prasy dla Ziem Odzyskanych.

Wychodzący w Prądniku „NASZ GŁOS" jest typowym pismem prowincjonalnym z bardzo obszernym działem kronik miejscowych. Jest to tygodnik nie mający jakiegoś zdecydowanego oblicza czy kierunku i dlatego chyba skazany na wegetację tym więcej, że widzimy w nim wyraźny brak dobrego materiału redakcyjnego. Pismo to obejmuje zasięgiem swoim zainteresowań położoną na lewym brzegu Odry część Śląska Opolskiego. Ale sprawy tego terenu dochodzą do głosu najczęściej w notatkach kronikarskich. Tygodnik ten należałoby powiększyć o przynajmniej dwie strony a przy tym powiększyć zespół redakcyjny. Warto by o tym pomyśleć nie zapominając równocześnie o pomocy finansowej dla pisma w okresie jego reorganizacji.

Jeśli „Nasz głos" jest wynikiem tzw. inicjatywy prywatnej, to „NOWINY OPOLSKIE" wyszły pod naciskiem opinii jako organ Polskiego Związku Zachodniego i od razu przyniosły rozczarowanie. Pismo jest nudne, martwe, zalatuje bardzo oficjalnością i jest po prostu brzydkie w swojej szacie graficznej i układzie. Daleko mu do poziomu dobrego pisma ludowego.

W ten sposób Śląsk Opolski mając dwa swoje pisma, które mogą zaspokoić całkowicie potrzeby tego terenu, nie ma w tej dziedzinie jeszcze tego, co mieć powinien. Sprawa nie jest taka prosta i krytykując te pisma nie możemy zapominać, że ich byt i rozwój zależy od odpowiednich ludzi, których nie ma, od redaktorów, którzy zabiorą się do roboty poważnie, zapoznają się dokładnie z przeszłością prasy polskiej na Śląsku i nawiążą celowo i świadomie do jej tradycji, którzy pracować będą nie po amatorsku a przy tym nie będą sobie tej pracy uważali za jakąś krzywdę, za prowizorium z braku czegoś lepszego. Muszą oni wyszukać różnicę, jaka winna istnieć pomiędzy prowincjonalną gazetą a pismem dla ludu.

Najlepszym dotychczas periodykiem dla Ziem Odzyskanych jest „POLSKA ZACHODNIA", organ Polskiego Związku Zachodniego w Poznaniu. Pismo redagowane jest starannie, ma dobrych współpracowników, interesujące artykuły, ciekawą i bogatą kronikę. Dział ogólno-informacyjny robiony jest zwięźle i zajmuje właściwą w tym wypadku ilość miejsca, które poza tym jest celowo i dobrze rozplanowane pomiędzy sprawy gospodarcze, społeczne, narodowe Ziem Odzyskanych, pomiędzy historię, literaturę, publicystykę i reportaż. To pismo powinno być w każdym domu na polskim Zachodzie, powinni czytać je wszyscy, którzy sprawami tych ziem nieprzypadkowo i poważnie się interesują. Warto podkreślić, że „Polska Zachodnia" wydała obszerny i bogaty numer specjalny z okazji drugiego Zjazdu Przemysłowego Ziem Odzyskanych.

Czasem w piśmie i tak wybitnie i ekskluzywnie specjalnym, jak „ŚLĄSKA GAZETA LEKARSKA" znaleźć można rzecz intresującą i dla laika, który tego rodzaju czasopisma omija zawsze z daleka. W ostatnim podwójnym numerze tej „Gazety" (nr 9/10), liczącym ponad 120 stron druku dużego formatu, takim artykułem jest niewielki artykulik dra Edwarda Hankego pt. „Psychoza masowa na Śląsku w początkowym okresie okupacji niemieckiej". Dr Hanke pisze tu ze stanowiska lekarza o przejawach manifestacyjnego witania wojsk niemieckich, denuncjacjach itp., charakteryzując je jako zjawiska patologiczne, psychozą zbiorową pewnej garstki ludzi, która przez jaskrawą formę swoich wyczynów zwraca na siebie powszechną uwagę. Autor stwierdza, że zjawiska te wystąpiły na Śląsku przede wszystkim w rejonie przemysłowym a nie było ich zupełnie w okręgach rolniczych. Dr Hanke stara się je wyjaśnić ze stanowiska psychologicznego, charakteryzując podłoże psychiczne, na którym wyrosły i daje ciekawe przykłady reakcji Niemców na te manifestacje, przytaczając dwa interesujące wypadki obrony przed zalewem denuncjacji napływających do Gestapo i Schupo. Cenne byłoby szersze opracowanie tego tematu ze stanowiska lekarza. Przy tej okazji warto stwierdzić, że redagowana i wydawana przez dra Albina Garbienia w Cieszynie „Śląska Gazeta Lekarska" jest wydawnictwem pod wieloma względami imponującym i świadczącym dobrze o ambicjach i poziomie świata lekarskiego na Śląsku. **(ki).**

Co robią Niemcy

W Berlinie trwają walki przedwyborcze. Ostrość wypowiedzi niektórych pism pod adresem przeciwników partyjnych świadczy o tym, że Berlińczycy zamierzają w bieżących wyborach wyeliminować wszystkie z punktu widzenia nowej demokracji niemieckiej bezwartościowe jednostki. **Największą sensację w całym przebiegu tej walki przyniosła „Berliner Zeitung'** w nrze 240. Ogłoszone przez nią dokumenty skompromitowały całkowicie krajowego przewodniczącego partii liberalno-demokratycznej, **przemysłowca Schwennicke'go.** Mianowicie 25 marca 1946 podpisał Schwennicke oświadczenie, że nie należał nigdy do NSDAP ani do jakiejkolwiek jej przybudówek, przyznając równocześnie, że zdaje sobie sprawę z wagi tego oświadczenia, wymaganego zresztą z tytułu dekretu o denazyfikacji. Taki jest pierwszy dokument, opublikowany przez gazetę berlińską. Drugi opublikowany przez nią dokument, nosi datę o 13 lat wcześniejszą. Mianowicie 20 maja 1933 r. napisał Schwennicke list do niejakiego pana Repkego, w którym oświadcza, iż co dopiero wstąpił do NSDAP. Pismo berlińskie dodaje ponad to, że w czasie wojny w koncernie Siemensa, w którym Schwennicke po dziś dzień pracuje, zajmował on stanowisko przedstawiciela Gestapo. **Wymowa tych dokumentów będzie nieprzyjemna dla całej partii liberalna-demokratycznej.** Jesteśmy ciekawi, jak na tę sensację zareaguje wyzwana partia.

W przeddzień wyborów odkryto w Berlinie tajne stronnictwo reakcyjne, na którego czele stał niejaki Walter Gericke von Falkenberg. Stronnictwo nosiło nazwę: Wolna konserwatywno - demokratyczna partia Rzeszy. Falkenberg podczas aresztowania oświadczył, że jest starym żołnierzem i nacjonalistą niemieckim. Ponad to według jego dosłownego oświadczenia zalicza się on do ofiar faszyzmu, ponieważ — na skutek bombardowań Berlina stracił dwa swoje domy. Na koniec powiedział, przesłuchującym go urzędnikom policji kryminalnej: „Jestem przekonany, że w roku następnym będę mógł pociągnąć do odpowiedzialności te siły, które dziś występują przeciwko mnie". Przy organizacji Falkenberga utworzona została grupa młodych, skupiająca samych prawie członków Hitlerjugend.

Falkenberg broni się twierdzeniem, że całość miała charakter klubu dyskusyjnego, do którego dopuszczani byli przedstawiciele wszystkich istniejących partii legalnych. Badania jednak wykazały, że na zebraniach „klubu" mówiono wyłącznie o celach i metodach pracy partii tajnej. W kilka dni po aresztowaniach policja niemiecka ogłosiła w gazetach, że w wyniku badań stwierdzono, iż **partia miała tendencje monarchistyczne, za to jej wódz wykazuje znamiona choroby umysłowej. Nie przeszkodziło to jednak rozprzestrzenianiu się owej tajnej partii także i poza granicami Berlina.**

Skoro już jesteśmy przy polityce i partiach, to warto zacytować oryginalne bądź co bądź **twierdzenie obwodowego prezesa Chrześcijańsko-demokratycznej Unii w Dueren,** zanotowane przez dziennik kolońśki „Volksstimme". Oto ono: **„Socjalizm chrześcijański jest pomyłką. Chcemy chrześcijańskiej reformy socjalnej ale odrzucamy wszelki socjalizm'.** Cytując to powiedzenie niektóre organa francuskiej MPR, która jak wiadomo jest partią radykalnych katolików, uznających socjalizm chrześcijański, ostro rozprawiają się z obecnymi tendencjami programowymi w niemieckiej CDU.

—

Wróćmy jednak do Berlina. Poza kłopotami politycznymi, przeżywa on obecnie, a przynajmniej pewna część jego mieszkańców w rodzaju Schwennicke'go lub scharakteryzowanego niedawno na tym miejscu innego polityka Swolinsky'ego, innego rodzaju kłopoty. Drżą przede wszystkim ci mieszkańcy, którzy wzorem Swolinsky'ego w dobie „aryzacji" handlu niemieckiego wzbogacili się na mieniu pożydowskim. Berlin w tej **chwili liczy 7 tysięcy Żydów. Gmina żydowska, reprezentująca tu ich interesy, oświadczyła niedawno, że są oni spadkobiercami majątku wszystkich tych Żydów, którzy już nie mogą dochodzić swoich praw.** Gmina żydowska przypomniała przy tej okazji, że wielu Żydom, którzy wrócili do Berlina, dotąd nie zostały zwrócone ich majątki. Wrócił także ograbiony przez Swolinsky'ego kupiec Lewy i wytoczył tamtemu proces.

W ogóle **Niemcy lubią zapominać.** Zapomnieli, że wyrządzili krzywdy, że mordowali i gnębili całe narody. **Powieścią przeciwko zapomnieniu nazywa krytyka niemiecka nową powieść Heinza Reina pt. „Finale Berlin". Powieść ta zajmuje się agonią stolicy Niemiec.** Akcja jej rozpoczyna się trzy tygodnie przed zakończeniem walk o Berlin, ale te trzy tygodnie w doskonałym ujęciu pisarza kompromitują dostatecznie legendę III Rzeszy, budowaną w przepychu i pysze. Heinz Rein, ur. 1906 w Berlinie, jest pisarzem właściwie początkującym dopiero. Poprzednio pisywał jedynie drobne korespondencje do gazet zagranicznych. W czasie wojny pracował jako drobny urzędnik niemieckiej Reichsbahn. Materiał do pracy literackiej zbierał właściwie przez całe 40 lat swego życia. Dopiero po wojnie bowiem zaczynają wychodzić jego książki. A więc „Berlin 1932", tom nowel „Dziewczyna na moście" i „Finale Berlin", powieść przeciwko zapomnieniu. **O czym nie powinni zatem zapomnieć Berlińczycy? O oszustwie III Rzeszy** — odpowiadają krytycy — **o dniach, które przyniosły hańbę.** O tym też pragnie mówić Heinz Rein w swojej nowej, reklamowanej szeroko powieści.

Innego rodzaju sensacją w życiu literackim Berlina jest **samobójstwo 74-letniego pisarza i aktora Paula Apela.** Apel uczęszczał z ciekawości pisarskiej często na rozprawy komisji denazyfikacyjnej. Po kilkunastu takich odwiedzinach sędziwy pisarz zapadł na roztrój nerwowy i popełnił samobójstwo, rzucając się na ulicę z 4. piętra gmachu komisji. Ten widocznie także nie mógł zapomnieć, ale nie posiadał siły woli Heinza Reina, który zebrany materiał, oskarżający przeszłość, potrafił wykorzystać w spokojnej, epickiej opowieści.

Przeciwko zapomnieniu pomyślana jest także artystyczna sensacja Berlina, wystawa dzieł Carla Hofera. Carl Hofer, ur. 1878, stoi w młodości swej pod znakiem Böcklina. Pierwszą wystawę jego dzieł oglądać można było równe 40 lat temu w Weimarze. Do roku 1913 żyje Hofer w Paryżu, po wielkiej wojnie zaś w Berlinie. W Niemczech hitlerowskich zrazu jest uznawany, ale krótko przed wojną sztukę jego uznaje się oficjalnie za sztukę zwyrodniałą. Nie wystawia już, choć pamiętają o nim za granicą, maluje jednak coraz więcej. W 43 roku dom jego razem z wszystkimi obrazami przeszywa bomba i tak ginie jego najciekawszy dorobek malarski. Obecnie jest dyrektorem Akademii Sztuk Pięknych w Berlinie i gorliwym współpracownikiem Kulturbundu.

Wystawa jego zwraca się przeciwko zapomnieniu, bowiem obok delikatnych rysunków siedzących dziewczyn, aktów i dziewczyn w oknie, ulubionego motywu Hofera, widzimy również motywy grozy: zniszczone przez bomby domy, alarm lotniczy. **Wszystko to pomyślane jest nie jako sztuka bohaterstwa, lecz jako sztuka przestrogi.** Zapomnienie przynieść mogą tylko jego idylliczne krajobrazy, pary miłosne, czółna rozśpiewane, pochody masek i bukiety kwiatów. Ale i tu widoczny jest jakiś niepokój w ostrych załamaniach linii, w skupieniu barw, w spojrzeniach ludzi. Widocznym z tego jest równocześnie, że w Hoferze wciąż jeszcze mieszają się dwa style, impresjonizm i ekspresjonizm.

I ostania wiadomość z Berlina. **W lokalu klubowym Kulturbundu odbył się trzeci wieczór dyskusyjny na temat „Polityka kulturalna Berlina i jej krytycy".** Na wieczorze tym zakomunikowano, iż jedno z najważniejszych zadań nowej polityki kulturalnej, mianowicie **oczyszczenie instytucji kulturalnych z elementów nazistowskich, zostało już w pełni wykonane.** Trudno nie dodać do tego oświadczenia maleńkiego komentarza. Wydaje nam się, że tak dobrze jeszcze nie jest w niemieckim świecie kulturalnym. Wprawdzie rej w nim wodzą ludzie nowi, z przeszłością demokratyczną lub bez przeszłości, ale wielu starych hitlerowskich „kulturmacherów" wciąż jeszcze odgrywa pewną rolę w polityce kulturalnej nowych Niemiec. — **Reformę szkolną uznali referenci za drugie ważne zadanie polityki kulturalnej.** Prasa niemiecka żałuje, że na temat reformy szkolnej niema żadnej zasadniczej dyskusji. Z drugiej jednak strony referent radca miejski Winzer rozprawił się ostro z wszelkimi próbami dyskusji i krytyki, dyskwalifikując je z góry powiedzeniem, że były by to tylko zamaskowane ciosy hitlerowców w największe osiągnięcia nowej demokracji niemieckiej. **wisz.**

Tydzień Katowic

17.X. — 23.X.46 r.

Życie muzyczne obfitowało w szereg ciekawych imprez. Na pierwszy plan wybija się III koncert symfoniczny Państwowej Filharmonii w Katowicach z udziałem Raoula Koczalskiego (18.X). Słynny pianista wykonał z towarzyszeniem orkiestry koncert fortepianowy e-moll op. 11 Chopina, ponadto na bis, cały szereg mniejszych utworów, między innymi etiudę c-moll (rewolucyjną).

Sztywna zwykle i chłodna publiczność katowicka tym razem nabrała rumieńców zapału. Prośby o bis pod adresem pianisty miały charakter szczerego i masowego odruchu.

Koczalski grał Chopina inaczej niż przywykliśmy słyszeć. Gdyby na przykład któremuś z młodych pianistów spodobałoby się podać etiudę c-moll w takiej interpretacji — spotkał by się przypuszczalnie z ekskomuniką muzyków. Uczniowi ucznia Chopina biło się serdeczne brawa. Jest w tym jakaś tajemnica Pani Muzyki.

Orkiestra pod batutą Witolda Krzemieńskiego wykonała uwerturę do op. „Królowa Jadwiga" Kurpińskiego i symfonię z „Nowego świata" op. 95 Dworaka.

20.X. w poranku symfonicznym Polskiego Radia orkiestra symfoniczna rozgłośni śląskiej pod batutą Witolda Kałki Rowickiego wykonała symfonię d-dur nr 35 Mozarta i Artura Malawskiego Sinfoniettę. Solista koncertu skrzypek Władysław Wochniak grał z towarzyszeniem orkiestry koncert skrzypcowy g-moll op. 26 Brucha.

21.X. w sali konserwatorium koncertował kwartet instrumentalny w składzie Jahnke (I skrzypce), Kwaśnik (II skrzypce), Szulc (altówka) i Danczewski (wiolonczela). Wykonane były: kwartet Romana Padlewskiego, kwartet d-moll Mozarta i kwartet c-moll Brahmsa. Publiczność nie dopisała.

Wróciła do Katowic śpiewaczka Irena Lewińska, laureatka międzynarodowego konkursu muzycznego w Genewie (1946). Do tysiąca innych dołączamy nasze skromne gratulacje.

ŻYCIE LITERACKIE

21.X. odbył się IV w tym sezonie wieczór Klubu Literackiego. W ramach wieczoru poświęconego twórczości Kasprowicza Jan Kucharski wygłosił odczyt pt. „Kasprowicz na dziś", a Tadeusz Staich po krótkiej impresji zatytułowanej „O genialności Tatr" recytował fragmenty utworu „Święty Boże".

Ukazał się w sprzedaży trzeci z kolei „Arkusz Śląski" — wydawnictwo Śląskiego Oddziału Z. Z. L. Arkusz przynosi wiersze Aleksandra Baumgardtena. Działalność literacką Baumgardtena omawia we wstępie Z. Hierowski.

„Awir" wypuścił na rynek księgarski Bernadotte'a „Koniec III Rzeszy" i Więcha „Spacerkiem przez Poniatowczaka" Wykaz dotychczasowych publikacji tej firmy wydawniczej podamy za tydzień.

ŻYCIE TEATRALNE

22.X. na „Małej scenie" Teatru Śląskiego odbyła się premiera sztuki Annouilh'a pt. „Pasażer bez bagażu" w opracowaniu reżyserskim Janusza Warneckiego, który kreował również rolę tytułową. Niezależnie od recenzji zamieszczonej w innym miejscu, wróżymy sztuce powodzenie.

ŻYCIE NAUKOWE

23.X. odbyło się posiedzenie Komisji Historycznej Instytutu Śląskiego. Tematem posiedzenia była sprawa materiałów obejmujących okupację niemiecką w latach 1939 — 45. Temat referowali Alojzy Targ i mgr Fr. Szymiczek.

INNE

W uzupełnieniu imprez, nieobjętych dotychczasowym przeglądem, podajemy:

29. IX. Ukazał się pierwszy numer tygodnika „Ogniwa". Jest to organ Związku Weteranów Powstań Śląskich. W pierwszym numerze drukowane były prace płk. Jerzego Zitka, Józefa Ligęzy, Kazimierza Popiołka, Eryka Skowrona, Wilhelma Szewczyka, Gustawa Morcinka, Wacława Madejskiego i innych.

Związek Zawodowy Artystów Plastyków otrzymał wreszcie w ciągu lata salę wystawową.

Uwaga: Nie wykluczone jest, że w zestawieniu powyższym znajdą się jakieś błędy. Specjalnie mamy tu na myśli możliwość pominięcia wydarzeń. W związku z tym uprzejmie prosimy wszystkich zainteresowanych o nadsyłanie nam sprostowań i uzupełnień w wypadku dostrzeżenia braków. Pragniemy, by rubryka ta miała wartość bezbłędnego materiału historycznego. Katowickich wydawców prosimy o nadsyłanie komunikatów sygnalizujących ukazanie się nowych wydawnictw.

M. M.

Patrzymy na ekran

Mamy wszyscy okazję zobaczyć kilka niezłych przedwojennych filmów. Po prostu wystarczy się przespacerować od jednego kina katowickiego do drugiego i oglądnąć właśnie wyświetlany film. Tym razem nawet musimy przyznać, że stosunkowo mało zniszczone i poskracane kopie dostali'śmy. Dotyczy to tak „Mayerlingu" (kino „Światowid"), jak „Księcia i żebraka" (kino „Union"), czy wreszcie „Bolka i Lolka" (w kinie „Zorza"). Zwłaszcza „Książę i żebrak" dostarcza nam kilkudziesięciominutowej przyjemnej rozrywki. Perypetie młodziutkiego króla Anglii Edwarda VI i jego sobowtóra są tak bezpośrednie, że wybaczamy chętnie wszystkie niedociągnięcia historyczne czy reżyserskie, nie żądamy żadnych subtelności i wystarczy nam młodzieńcza fantazja Errol Flynn'a. — W „Mayerlingu" zaś czaruje nas a zwłaszcza nasze towarzyszki urok zamglonych oczu Charles Boyer'a. Dlatego nie próbujmy się dziwić, gdy po skończonym filmie a przede wszystkim w czasie jego trwania, uczujemy na własnej ręce uścisk przeznaczony nie dla nas. To są smutne przyjemności chodzenia we dwoje do kina. Reszta tego wieczoru i tak będzie należeć do nas a piękny Charles daleko.

Natomiast ostatni program kinoteatru „Słońce" stoi pod znakiem minionej wojny. Na ekranie dwa średniometrażowe reportaże: „Zwycięstwo w pustyni", oraz film przedstawiający samoobronę norweskich rybaków przed chciwym okupantem oraz jego pomocnikami z pod znaku Quislinga. Ten drugi zresztą film wogóle nie reklamowany a szkoda, bo technicznie bardzo ciekawy i zawiera bardzo interesujące zdjęcia plenerowe ze skalistych wybrzeży Norwegii. — „Zwycięstwo w pustyni" jest obrazem wiernym i dokładnym przełomowej bitwy o Egipt a właściwie o Afrykę — pod El Alamein. Na plus obrazu tego musimy zaliczyć bardzo przejrzyste i proste podanie poszczególnych elementów obrony i natarcia, które w ostatecznym wyniku doprowadziły do zupełnego pogromu wojsk feldmarszałka Rommla.

Kończymy nasze uwagi przypomnieniem. Pewnie bowiem nie wszyscy pamiętają, że w roku tym obchodzimy dwudziestolecie filmu dźwiękowego. Tak, tak — tyle właśnie lat minęło od czasu, gdy amerykańska wytwórnia Warner Brothers zdecydowała się na dorobienie dźwięku do już wypróbowanego filmu „Don Juan". Ciekawą jest rzeczą, że prawie wszyscy mężczyźni bohaterowie tego pierwszego, dźwiękowego filmu (między nimi John Barrymoore) nie dożyli jego dwudziestoletniego jubileuszu. Natomiast kobiety, odtwórczynie ról głównych w tymże filmie cieszą się wszystkie jak najlepszym zdrowiem. Prawdopodobnie ten sam dźwięk, który pozbawił mężczyzn życia (a jak wiadomo mężczyźni nie znoszą hałasu), dopomógł wiecznie spragnionym gwaru kobietom do zakonserwowania zdrowia i urody. — Ale żart na bok, dwudziestoletnie filmu dźwiękowego przypomina nam, jak słaby i nieudolny by na ekranie przed laty sam gest i patos nawet najlepszego aktora. Dzisiaj dźwięk jest walnym sprzymierzeńcem człowieka podczas odtwarzania przez niego na ekranie życia, które przecież nie jest też niememe. A jeszcze przed dwudziestu laty nim było. Przynajmniej — w kinie. **Alba.**

Korespondencja

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

w ogłoszonym w numerze 16. „Odry" z dnia 2 czerwca br. „Słowie o Ostapie Ortwinie" zauważyłem następujące omyłki drukarskie, zniekształcające treść

druga kol. 9 w. od początku ma być „w tonach" zamiast „w tomach",

trzecia kol. 14 w. od początku ma być „anch'io sono pittore" zamiast „auch i sono pittore",

piąta kol. 12 w. od końca ma być „datkiem" zamiast „darkiem",

szósta kol. 11 w. od początku ma być „czarta noce" zamiast „czarne noce".

Najuprzejmiej proszę o łaskawe sprostowanie błędów, które się wkradły do tekstu. Przyjechałem niedawno ze Lwowa i dopiero teraz zaznajomiłem się z treścią ogłoszonego w „Odrze" „Słowa o Ostapie Ortwinie".

Mieczysław R. Frenkel
(Zabrze)

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3 Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3 Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik", Katowice, 3 Maja 12. Wydawca: Sp. Wydaw. „Czytelnik"
R 23110